CENA ZŁ 20

Becher — Ligęza — Naganowski — Obrzud — Tyrmand — Zechenter — Zweig

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE
CZYTELNIK

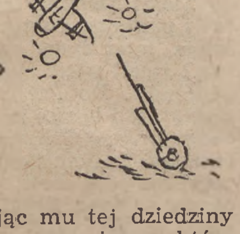
NUMER 44 (206) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 20 LISTOPADA 1949 ROKU ROK V

WIDNOKRĘGI TECHNIKI

Napisał
Eryk Skowron

1

Współczesna ludzkość nie jest zgodna co do swego stosunku do techniki Jedni łączą z nią wielkie nadzieje, inni wielkie obawy. Jedni widzą w niej wielkiego dobroczyńcę ludzkości, inni gnębiciela. Zależnie od tego jedni drżą przed jej zdobyczami, drudzy je uwielbiają. Ci, którzy mają w ręku szczytowe osiągnięcia techniki i czerpią z niej wszelkie korzyści, skłonni są ją przeceniać, owi zaś, którzy są jej pozbawieni, lub narażeni na jej groźne konsekwencje — skłonni są ją potępiać.



W zależności od jednego lub drugiego punktu widzenia ukształtowały się w przeszłości całe systemy filozoficzne potępiające technikę, widzące w niej dzieło złych mocy w człowieku i zakazując mu tej dziedziny twórczości — oraz inne, które w twórczości technicznej człowieka widzą najgłówniejsze jego narzędzie w walce o byt i tworzenie swej kultury. Jedne aprobują technikę, gdyż daje człowiekowi moc i potęgę, inne ją odrzucają, gdyż sieje zamęt, walkę, zniszczenie i śmierć.

Tymczasem na pozór najtrudniej przyznać rację tam, gdzie dwa sprzeczne stanowiska wydają się być prawdziwe.

2

Cóż to jest technika? Niewątpliwie jest to dziś olbrzymi świat, świat tym szczególniejszy, że swoje powstanie zawdzięcza człowiekowi. Człowiek stworzył go w swojej długiej i mozolnej walce z przyrodą, w walce z żywiołami, przewyższającymi go swą potęgą, w walce z ślepymi i bezlitosnymi siłami, istniejącymi poza nim.

Technika, to owe niezliczone i skomplikowane narzędzia, którymi człowiek z biegiem wielu tysięcy lat zdołał opanować świat zewnętrzny, którymi zdołał pomnożyć te swoje siły, dzięki którym przebudowuje materialne otoczenie na lepszy swój użytek. To ów wspaniały świat spełnionych możliwości, który choć tkwi immanentnie w świecie, musi dopiero być dostrzeżony prometejskim spojrzeniem człowieka, a potem zużytkowany. Jest to ta część świata ślepego chaosu, świata niezależnego od woli człowieka, którą zdołał on podporządkować swojej celowej woli. Przy pomocy techniki toruje sobie człowiek drogę ze świata twardego musu i — zdawałoby się nieodmiennych konieczności — ku sferom wolności, ku niezależności i swobodzie. Tworzywem techniki jest cały świat materii, świat człowiekowi wrogi.

Siła, która pozwala człowiekowi przekształcać świat według swej własnej wizji, rodzi się z jego zdolności do rozpoznawania użytecznych cech materii; rodzi się z tej jego cechy, która w czas burzy każe człowiekowi zaglądać piorunom w oczy, która każe mu rzucać się w skłębione odmęty materii, **by je poznać, a przez to pokonać.** Nie ci, którzy uznawali świat za gotowy, niezmienny, nie ci, którzy z lękiem i pokorą biernie poddawali się jego ślepej woli, lecz owi, którzy z odwagą i pogardą śmierci rzucali się nań, tworzyli technikę, która w tak wielkiej mierze uniezależniła już człowieka od przypadku, od deterministycznych odmętów.

3

Dla spełnienia swego zadania technika wymaga specjalnych sił duchowych. Powstawała ona w wyniku żmudnej obserwacji przyrody, z upartej dociekliwości, z analizy każdego doświadczenia, z umiejętności przerzucania przęseł syntezy nad wieloma osiągnięciami i łączenia ich w jeden nowy system. Z pewnej zasadniczej postawy wobec bytu doszedł człowiek do tych wyników, z których może być dumny. Te narody i jednostki które posiadały najwięcej woli poznania świata materii i stworzenia narzędzi do ujęcia jego sił w wędzidła, doszły też do największych osiągnięć i ich jest największy wkład w rozwój techniki. I odwrotnie: im większa była wiara w niezmienność zastanego porządku na świecie, im większa bierność w stosunku do materialnego otoczenia, im bardziej aktywność ogranicza się do kontemplacyjnego przeżuwania bytu, tym niższy stawał się poziom życia, tym większy prymityw wegetacyjny, tym większe zacofanie, większa bezbronność, bezsiła i nędza. Jednym zwycięska walka z przyrodą dawała poczucie niezależności i mocy, dawała radość życia i optymistyczną w nie wiarę, drugim świat ukazywał się w czarnych, ponurych kolorach ich własnej bezsiły, bezradności i potępienia, a życie było nie warte przeżycia.

W miarę jak człowiek usprawniał narzędzia i metody ujarzmiania materii i jej energii, w miarę jak spożytkował je dla swoich potrzeb, rozwijała się nie tylko technika, ale wraz z nią rozwijał się także sam człowiek. Techniką człowiek przeobrażał świat, ale i technika przeobrażała samego człowieka. W ten sposób człowiek wspiął się na dzisiejsze swe wyżyny. Zaczął technicznie myśleć i działać. Zaczął mierzyć, liczyć, porównywać, składać i rozkładać, eksperymentować, klasyfikować, zaczął **myśleć**, myśleć coraz częściej, więcej i głębiej, a wszystko po to, aby dokonać określonych zmian w istniejącej rzeczywistości, aby ją nagiąć, przerobić, dostosować do swoich potrzeb. W tej olbrzymiej i wszechstronnej pracy nie rozważa on, czy to, co tworzy jest dobre czy złe, moralne czy niemoralne, zwłaszcza w jakimś absolutnym sensie. Ujmuje świat po prostu w związki mechaniczne, docelowe i przyczynowe, obce wszelkiej etyce. Nie wierzy prima vista odkryciom: musi je sprawdzić, musi stwierdzić ich utylitarystyczny sens. Uznaje tylko prawdy empiryczne, pragmatyczne. To t e c h n i k a s t w o r z y ł a r e a l i z m. Każdy błąd w rozumowaniu, każda ślepota, zakłamanie rzeczywistości mści się tu srogo. Bujanie w obłokach jest możliwe tu tylko wtedy, gdy poddane jest surowym rygorom praw aerostatyki, aeronautyki i aerodynamiki. Człowiek myślący technicznie przestaje wierzyć w fatum, w kaprysy losu, choć widzi nieuchronność wielu procesów życia, własną niedoskonałość i słabość. **Swoim błędom przypisuje swe niepowodzenie.**

Wraz z rozrostem techniki powstała ogromna, rozgałęziona wiedza techniczna, specyficzny sposób patrzenia na świat i życie, powstał technik jako specjalny typ człowieka. Dziś wiedza



techniczna jest olbrzymia i siłą tego faktu dzieli się na niezliczone odrębne dyscypliny. Natomiast tworzenie techniczne musi się posługiwać doświadczeniami wszystkich poszczególnych dziedzin wiedzy technicznej. Tajemnicą genialności praktycznego technika, to sztuką korzystania i łączenia tych dziedzin. Aby twórcy techniczni mogli z sobą współpracować, mogli się porozumieć, muszą używać jednoznacznych pojęć i określeń, jednakowych znaków i miar. Toteż gdy dwóch techników mówi to samo, to i zarazem rozumie to samo. Całkiem inaczej niż w polityce i pokrewnych jej dziedzinach. Technik nie może już dzisiaj pracować w samotności, jak dawny alchemik-czarnoksiężnik. Skazany jest na pomoc drugich i współpracę z drugimi. Dawno przestał być Demiurgiem, Prometeuszem, Cagliostrem, Faustem i jak oni się tam wszyscy zwali, przybrał miano K o l e k t y w u. Tworząc swoje dzieła musi być dokładny, pedantyczny, subtelny, a więc sumienny, obowiązkowy, czujny, wytrwały-bohaterski. Musi umieć przewidywać i zapobiegać, musi umieć organizować. Toteż nie przesadzimy, twierdząc, że typ technika najlepiej uosabia typ człowieka naszej epoki. On tę epokę tworzy.

Spory międzynarodowe nie byłyby takie groźne, gdyby, tak jak w meczu sportowym, jednakowa ilość przeciwników walczyła z sobą przy zachowaniu ściśle określonych reguł gry. Istniałaby wtedy szansa, że wygra rzeczywiście lepszy, lepsza sprawa.

Tymczasem sporom międzynarodowym towarzyszy skryta i wytężona praca nad tym, by na wypadek dojścia do konfliktu mieć jakąś nieznaną przeciwnikowi, sprzeczną z regułami gry, przewagę nad przeciwnikiem. By mieć coś w rodzaju kawałka ołowiu w rękawicy bokserskiej. Jest nią w dziejach zmagań między narodami — technika. Posiadanie lepszej techniki, a przynajmniej przekonanie o posiadaniu przewagi technicznej w chwili rozpoczęcia walki, ośmielała i ośmiela narody zaborcze, militarystyczne, imperialistyczne do napadania na narody pokojowe. Aby im tę chęć odebrać, narody pokojowe muszą dbać ciągle o to, by w stosunku do narodów imperialistycznych nie pozostawać w tyle w rozwoju techniki.

Choćby z tego tylko powodu technika zasługuje na to, by zapoznać się z jej istotą bliżej i ustalić nasz do niej stosunek.

4

Wiekiem, w którym technika po raz pierwszy pokazała swe prawdziwe możliwości, był wiek XIX. O roli, jaką technika w tym czasie odegrała i o możliwościach twórczych, jakie w sobie kryje, najlepiej świadczy następujący obrazek techniczny:

Od początku VI wieku do 1800 liczba mieszkańców Europy nigdy nie przekraczała 180 milionów. Od 1800 natomiast do 1914 liczba mieszkańców wzrasta do cyfry 460 milionów. Przeciwstawienie tych liczb zdaje się nie pozostawiać żadnych wątpliwości co do zdolności pomnażania życia w danym wieku. W dziejach ludzkości nie ma on równego sobie.

Skok cywilizacyjny, jakiego wiek XIX dokonał, zmusił wielu do zastanowienia się nad przyczynami tego zjawiska. Słusznie dopatrywano się w nim rzeczy niezwykłych, jeśli w jego klimacie wyrósł tak niezwykły plon.

Dopatrzono się tych przyczyn w liberalnej demokracji, w rewolucji mieszczańskiej, kapitalizmie i technice. Żadna z tych przyczyn nie została stworzona przez wiek XIX, istniały one już poprzednio. Wiek XIX nie jest wynalazcą zasad, które stanowią tajemnicę wielkości, on jest tylko ich wielkim realizatorem. Na barykadach reformacji, racjonalizmu i oświecenia, na bruku paryskiej Wielkiej Rewolucji w walce z obskuratyzmem katolicko-scholastycznym, w walce Stanu Trzeciego z feudalizmem, w jego walce ze zgrzybiałą, zdegenerowaną arystokracją stworzono podstawy wieku. Wiek XIX znalazł tylko bardzo precyzyjny pas transmisyjny, przy pomocy którego przerzucił on wyzwolone energie na pole konstruktywnego produktywizmu. W ten sposób stał się on żniwiarzem czterech wieków walki człowieka o prawo swobodnego tworzenia. A bojownikiem i czołowym przedstawicielem tej prawdy była burżuazja, której dzisiejsi spadkobiercy teraz chcieliby zahamować świat w jego rozwoju.

Nie dziwi nas przeto, że wiek XIX jako okres wielkiego skoku ludzkości w kierunku postępu, dobrobytu i zbogacenia życia, ominął te kraje, które nie posiadały tak wspaniałych przodków. Do nich w pierwszym rzędzie należała Rosja, no i — Polska. Rosja porewolucyjna wcześniej, Polska dopiero dziś usiłuje opóźnienie nadrobić.

Doświadczenie XIX wieku dowodzi ponadto, że na owoce wielkich przewrotów trzeba zawsze trochę poczekać. Każda wielka rewolucja składa się bowiem z dwu etapów: buntu przeciwko starym zasadom i na nich opartej rzeczywistości oraz budowy nowego porządku. Takie już zdaje się panować nieodmienne prawo, że najpierw trzeba orać, potem siać, a na żniwo trochę poczekać.



5

Rozwój współczesnej techniki ma doniosłe następstwa.

Dzięki nowoczesnym środkom komunikacyjnym bliższym stał się nam każdy punkt naszego globu. Treścią naszego życia stała się dla nas cała planeta-Ziemia. Żaden kęs ziemi nie żyje dziś więcej jedynie w granicach swego geometrycznego obszaru. Każdy punkt globu jest prawie wszędzie obecny.

Dzięki technice zmieniły się pojęcia czasu i przestrzeni. Nasze obecne środki techniczne zdają się pożerać jedno i drugie. W tym samym czasie kosmicznym możemy zmieścić więcej czasu przeżywanego, psychologicznego. Życie stało się pełniejsze, intensywniejsze, co wobec ograniczoności życia ludzkiego nadaje tym faktom nieoszacowane znaczenie.

Dzięki technice ludzie stali się sobie bliżsi.

Wielorakość potrzeb współczesnego aparatu produkcyjnego i jego zróżniczkowanie, zależne od umiejscowienia surowców, czyni współzależnymi całe narody i kontynenty. Jedni nie mogą obyć się bez drugich. Wzajemny kontakt staje się żywszy i wielostronniejszy, co zmniejsza różnice, zwiększa wzajemne poznanie i zbliża.

6

Jak powiedzieliśmy wyżej, wspaniały rozkwit swego życia wiek XIX zawdzięcza rewolucji społecznej która go poprzedziła, i rozbiciu średniowiecznej klatki poglądu na świat.

Mając więcej wiedzy, więcej techniki, współczesne pokolenia na razie wcale nie czują się szczęśliwsze od poprzednich. Trawi je niepokój o przyszłość.

Zasadniczy dramat współczesnego pokolenia polega na tym, że rozwojowi techniki nie towarzyszyły zmiany w starych formach społecznych, w dotychczasowych ustrojach wewnętrznonarodowych i międzynarodowych, że rozwojowi techniki nie dotrzymała kroku świadomość człowieka. Gdy odkładał do lamusa wiosła i żagle a zastępował je śrubą, parą i motorem, gdy odstawiał na bok konie i dyliżans, a zastępował je koleją, samochodem i samolotem, gdy zwiększał ruch i rozmiary swej pracy, odłogiem zostawiał pojęcia narodowe, etyczne, społeczne, wyobrażenia o świecie i istocie człowieka, o zasadach współżycia i współpracy między ludźmi. Wstyd, głęboki wstyd pali duszę, gdy się z tego punktu widzenia pomyśli o „cudzie“ lubelskim, o tym, że średniowieczna ciemnota dochowała się w Polsce aż do roku 1949. Jak żądać od tego rodzaju ludzi, by zmienili swój stosunek do dotychczasowego pojęcia własności, do form produkcji, do innych narodów, jeśli w ich głowach panuje tak straszliwy mrok?! Oto jest pierwsza przyczyna kryzysu naszej cywilizacji: jeszcze straszą na nowoczesnych szlakach myśli ludzkiej, upiory najbardziej wstecznej głupoty, przesądu, i lenistwa myślowego.

Druga ma nieco inny charakter.

Egoizm jednostek i całych narodow, na którym zresztą opierała się cała dotychczasowa personalistyczna, indywidualistyczna koncepcja świata ludzkiego, ujrzał w technice nie tylko przyjaciółkę człowieka w jego walce o byt, dojrzał w niej także instrument do ujarzmienia bliźnich, narzędzie swego „Wille zur Macht“. Większość twórczości technicznej, większość pracy i wynalazków i surowców zaczął pożerać przemysł zbrojeniowy na fabrykację narzędzi wojny i zniszczenia, na produkcję dóbr wymierzonych przeciwko człowiekowi. Technika stała się narzędziem imperializmu, tej najbezwzględniejszej inkarnacji egoizmu ludzkiego. Imperializm troszczy się teraz wyłącznie o to, jakby technikę mieć w swych rękach i jakby przy jej pomocy narzucić swoją wolę światu i ludzkości. Imperializm wynaturzył istotne powołanie techniki, którym była służba człowiekowi, dla polepszenia jego warunków bytu. Ostatnią, w swych rozmiarach potworną próbą użycia techniki dla takich imperialistycznych celów była wojna Hitlera. Nie powiodła mu się tylko dlatego, gdyż przeliczył się „trochę“ w potencjale technicznym Związku Radzieckiego. Fatalne dziedzictwo Hitlera zdaje się przejął obecnie imperializm, któremu patronuje Truman...



Socjalizm ma inny stosunek do techniki niż imperializm kapitalistyczny. Dla niego technika ma tylko jedno przeznaczenie: stwarzać dobrobyt, ułatwiać człowiekowi pracę, użyźniać ziemię, oddawać przestworza na usługi człowieka, być jego uwielokrotnionym ramieniem w twórczej pracy. Nie wolno jej użyć prze-

(Dokończenie na str. 4.)



Narody świata: No, dosyć mamy twojego władztwa i twoich śmiercionośnych instrumentów i twojego kuszenia.
Drzeworyt z końca XV wieku.

Powitanie dowódcy

Powrót Marszałka Rokossowskiego i mianowanie go naczelnym dowódcą wojsk polskich to przede wszystkim powrót syna robotniczej Warszawy. Tu bowiem, w rodzinie maszynisty kolejowego, urodził się przyszły bohater spod Stalingradu. Tu ogarnął go, młodego kamieniarza, płomień pierwszych strajków, zwiastujących coraz częściej rewolucję. Tu także pozna słynne więzienie na Pawiaku, przez które przedefilował cały prawie walczący socjalizm polski. Pierwsza wojna światowa rzuci go od razu na front. Ale pewne spotkanie okresu wojny będzie miało nań decydujący wpływ, ustawi go stanowczo w szeregach rewolucji. Będzie to spotkanie z pierwszym agitatorem rewolucyjnym armii, spotkanie z świadomym bolszewikiem. Rokossowski stanie po stronie rewolucji, która od samego początku zaakcentuje mocno sprawę niepodległości Polski. Już zaczyna się dlań robota na terenie wojska. W dniach rewolucji przekształci swój pułk na jednostkę Czerwonej Gwardii, która w ciężkich walkach przeciwko kontrrewolucji przemierzy pod jego wodzą długi szlak syberyjski.

W taki sposób droga życiowa Rokossowskiego zaprowadziła go, kamieniarza warszawskiego, na wysokie stanowisko w Armii Czerwonej, które osiągnie zresztą po wyższych studiach, odbytych w Moskwie. Wkrótce przyjdzie zdać egzamin ze swych strategicznych umiejętności. I egzamin ten zdaje doskonale. W chwili wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej dowodzi korpusem pancernym w stopniu generał-majora. Na szosie wołokołamskiej, broniącej dostępu do Moskwy, armia Rokossowskiego odniesie pierwsze cenne zwycięstwo w tej wojnie. O sławnych czynach dywizji Panfiłowa, wchodzącej w skład armii Rokossowskiego, powstanie cała bohaterska literatura. Aleksander Bek w swej powieści „Szosa Wołokołamska“ da świadectwo prawdzie o bohaterstwie żołnierza tej armii oraz o genialnych planach dowództwa.

Ale to początek. Szlak bojowy wiedzie do Stalingradu. Tu w rejonie Stalingradu Rokossowski rozbija i niszczy otoczone jednostki wojsk niemieckich. Odnosząc zwycięstwo pod Stalingradem — nakreśla już prosty szlak zwycięstwa, wiodący do Warszawy.



Stając na czele I Frontu Białoruskiego wyzwoli Chełm, potem Lublin, pierwszą stolicę państwa ludowego, wreszcie stanie nad Wisłą. Jako dowódca II Frontu Białoruskiego przejdzie przez Prusy Wschodnie, by swój szlak zwycięstw zakończyć na Łabie.

Pogromca faszyzmu na czele wojsk polskich, kamieniarz warszawski, pamiętający pierwsze strajki i Pawiak, na czele Ministerstwa Obrony Wojskowej, to jedno z największych wydarzeń w dziejach nowoczesnych narodu polskiego. Państwo ludowe umożliwiło powrót temu synowi robotniczej Warszawy do kraju, umożliwiło mu objęcie stanowiska, które odpowiada jego zdolnościom i zasługom w walce z najgroźniejszym wrogiem ludzkości, z faszyzmem. Historia uczy nas dziejów wielkich Polaków, którzy jak Rokossowski zmuszeni byli służyć w armiach innych narodów. Pamiętamy Kościuszkę, który sławę bojową zdobywał w walkach o wyzwolenie chłopów i farmerów amerykańskich spod władzy europejskich imperialistów. Pamiętamy walczącego o wolność Węgrów Bema, o którym narodowy wielki poeta Petöfi napisze, że „był pochodnią nie tylko Węgier, ale wieku całego ludzkości“. Pamiętamy Jarosława Dąbrowskiego, dzielnego komendanta Paryża. Zachód i Południe widziały wielkich polskich żołnierzy na barykadach wolności. Tamtym jednak nie było danym wrócić do kraju. Rokossowski wrócił. Wrócił, gdy zaczął rządzić w Polsce lud, gdy władza ludowa uczyniła wolność naczelnym hasłem pokojowego żywota Polski. I w tym leży najsilniejszy akcent historii, położony na naszej współczesnej epoce.

Powrót Marszałka Rokossowskiego ma swoje znaczenie także i w innej dziedzinie, w dziedzinie międzynarodowego braterstwa. Uczeń, dowódca i bohater Armii Radzieckiej, żywotem swoim i czynami podkreśla ogromne znaczenie dokonanego w historii faktu braterstwa obu narodów, przyjaźni, która strzegąc pokoju prowadzi narody ku dobrej przyszłości. (jb)

Wiersze Franciszka Halasa

Do broni

Oto po całym kraju znów rozbrzmiewa
bojowy chorał wojowników Bożych —
a chociaż jeszcze ten czy ów nie śpiewa,
jednak już szuka nut — więc śpiewać zdąży.
Posłuchaj świecie: to dopiero gra!
Wszak cały naród konspiruje. Patrz.

Wnet rozszalałe swastyki się zwiną
w zuchwałym wietrze tajnych wiadomości —
nie jedna u nas w tym roku wzrosła żmija,
więc nawet ziemia pełna ku nim złości.
Posłuchaj świecie: to dopiero gra!
Wszak cały naród konspiruje. Patrz.

Pomnik zabitych w czasie pierwszej wojny
gromadzi co noc na zbiórkę poległych.
Wspomnieniem strzałów chcą bardziej spokojnym
sen nasz uczynić, na pomoc chcą biegnąć.
Posłuchaj świecie: to dopiero gra!
Wszak cały naród konspiruje. Patrz.

Wytrwałość flagę znów ku górze wznosi,
wczorajsi słabsi — zdolni przenieść góry.
Gwardia Hitlera poczuje to w kościach
choćby się skryła nawet w mysią dziurę.
Posłuchaj świecie: to dopiero gra!
Wszak cały naród konspiruje. Patrz. (1939)

Proletariuszowi

Czas omotany w łachman pychy
na harmonijce swych kłamstw gra
Ty wśród tych błazeństw jakże cichy
powiedz skąd płynie piękność twa.

Z zarzewiem buntu milcząc czekasz
i wzrok się w gniewnych błyskach skrzy
Powiedz jaka to żądza krzepi
gąszcz wiary której nie wytrzebi nikt.

Ze słów nieczułych na twe skargi
twórco pokoju przyszłych dni,
wydobądź blask i moc błyskawic
a rzuć na śmietnik nasze dni. (1935)

Z czeskiego przełożył ADAM WŁODEK

Perspektywa Odry

Zbrodni popełnionych w ostatniej wojnie przez hitleryzm nie da się w żaden sposób cofnąć. To się stało i to się nie odstanie. Ale można i należy wszystko zrobić, by nic podobnego więcej się nie powtórzyło.

Nieraz tak bywa, że ludzie, których rozdzieliła krzywda, muszą w imię rozumu, w imię życia, w imię człowieczeństwa zapomnieć przewiny i urazy i na nowych, szlachetniejszych zasadach oprzeć wzajemny do siebie stosunek. Zemsta bowiem należy do rozkoszy bogów, lecz wielkość człowieka bynajmniej nie w zemście się przejawia. I napróżno też usiłowałby ktoś bez wiary w człowieka, bez wiary w jego słowo poprawić stosunki międzyludzkie...

Dlatego najnowsze wydarzenia w dziedzinie stosunków polsko - niemieckich muszą napełniać otuchą nie tylko ze względu na to, że istotnie stanowią „zwrotny punkt w dziejach Europy" w sensie czysto politycznym, ale również dlatego, że są one bardzo wymownym przykładem możliwości samoprzezwyciężenia się człowieka, że są przykładem tych najszczytniejszych przemian, jakie niesie z sobą socjalizm.

Rewolucja, jaką oznaczają w stosunkach polsko - niemieckich oświadczenia Piecka i Grotewohla, najwyższych przedstawicieli nowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wywodzą się w prostej linii z tych humanistycznych pierwiastków socjalizmu, które są nadzieją świata. Czyż bowiem w ustach Niemców nie brzmią rewolucyjnie słowa:

„Nigdy nie ścierpimy, ażeby imperialiści zainteresowani w rozpalaniu nowej wojny, wykorzystali granice na Odrze i Nysie dla szczucia narodu niemieckiego przeciwko naszemu polskiemu sąsiadowi. Granica na Odrze i Nysie powinna być granicą pokoju i nigdy nie może przeszkodzić przyjacielskiej więzi z narodem polskim".

Jednak zbyt wiele potrzeba jeszcze, by słowa te stały się ciałem, abyśmy mogli zadowolić się samą radością, jaką w nas ów fakt budzi, i nie ustosunkowali się do niego na tle chłodnej analizy zagadnienia niemieckiego: istoty ich winy i zakresu ich odpowiedzialności. Tym bardziej, że wiele przemawia za tym, iż wynaturzenie niemieckie w postaci hitleryzmu nie musi być czymś tylko niemieckim.

Niemcy są narodem, któremu nie można odmówić wielu wysokich wartości. Są narodem inteligentnym, pracowitym, oszczędnym, zdyscyplinowanym. Ich cnoty społeczne słusznie mogą wzbudzać podziw, jaki wzbudziły w jednym z najlepszych polskich znawców psychiki niemieckiej, Edmundzie Osmańczyku, czemu dał wyraz w swoich „Sprawach Polaków".

Niemcy dzięki tym swoim cnotom stworzyły niemałe dzieła na wszystkich polach twórczości ludzkiej. Przodowały prawie światu w dziedzinie przemysłu żelaznego, chemicznego, drukarskiego, optycznego, precyzyjnego, muzycznego itd. itd. Technika niemiecka i nauka niemiecka mogą poszczycić się niemałym wkładem do ogólnego dorobku ludzkości na tym polu.

Niemcy były narodem kulturalnym. Bach, Beethoven, Mozart, Schubert i wielu, wielu innych będą po wieki wieków dawały zaszczytne świadectwo niemieckiemu geniuszowi muzycznemu. Goethe, Schiller, Lessing, Heine i cała plejada poetów, Hegel, Kant, Spinoza, Feuerbachowie, Marks, Engels i niezliczone grono innych wielkich myślicieli słusznie dało narodowi niemieckiemu przydomek — „Das Volk der Dichter und Denker".

Niemcy były narodem o najmniejszym procencie analfabetów w Europie. Posiadały najlepiej rozwinięte szkolnictwo na wszystkich szczeblach, zwłaszcza techniczne.

Dlaczegóż tedy Niemcy, mając tak poważne zalety, stały się nieszczęściem świata? Co ściągnęło nienawiść i gniew całego świata na ten dzielny lud? Na czym polega ich wina?

Odpowiedź jest krótka: Niemcy ściągnęły na siebie gniew całego świata za nadużycie tych swoich zalet. Inteligencja, zdolności, bogactwo, potęga gospodarcza, wysoki poziom techniki, wspaniała organizacja, porządek, wysoka wydajność pracy... wszystko to zostało użyte przez Hitlera przeciwko ludzkości, przeciwko człowiekowi. Takie przeznaczenie nadał tym wartościom faszyzm niemiecki. I takie przeznaczenie mogą nadać tym wartościom wszystkie narody, nawet przewyższające Niemców w tych wszystkich dziedzinach. A przecież o to chodzi dziś w świecie, żeby rozstrzygnąć, jakie ma być przeznaczenie całego dotychczasowego dorobku cywilizacyjnego ludzkości, czy ma on służyć dla jej pognębienia i zagłady, czy też dla jej dobrobytu, dalszego rozkwitu i powszechnego szczęścia. Takie jest kryterium, dzielące świat na faszystów i niefaszystów!

Świat stanął przeciwko Niemcom i ich satelitom dlatego, ponieważ przemysł ich, organizacja, dyscyplina, porządek doprowadzone zostały do antyhumanistycznego absurdu. Z ludzi zrobiono bezduszne manekiny w mundurach, dla porządku wszystkich ponumerowano, a tych, co nie podzielali tej antykultury, przeznaczono na mydło. Mydło stało się ważniejsze, niż człowiek. Wszystkie plusy Niemca oddano na służbę nienawiści i zezwierzęcenia. Przestępstwo to zostało dokonane z całą świadomością. Włożono w nie cały zapas namysłu i systematyczności niemieckiej.

Ale budził się w masach niemieckich protest. Reprezentowali go Niemcy - demokraci, którzy z naszymi bliskimi zapełniali obozy kaźni hitlerowskiej. Reprezentowali go emigranci, pisarze i działacze, którzy zza granicy upominali Niemcy, potępiali reżim hitlerowski, piętnowali jego zbrodnie i ostrzegali przed gniewem świata. Poza tym jednak szalejący terror zamykał szerokim masom usta, wtłaczał je przymusem w okrutne tryby swej ludobójczej machiny.

A bohaterowie dlatego właśnie zwą się bohaterami, że jest ich mało!

Faszystowskiej logice barbarzyństwa, wojny, gwałtu i ucisku musi być przeciwstawiona logika wolności, pokoju i sprawiedliwości. Logice faszystowskiej musi być przeciwstawiona logika demokratyczna. Logice kapitalistycznej — socjalistyczna!

Byłoby lekkomyślnością sądzić, że powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej i oświadczenia jej najwyższych przedstawicieli w mgnieniu oka przemieniły naród niemiecki i stworzyły tym samym nowy stosunek między Niemcem a Polakiem. Stanowią one dopiero chwalebny, pożądany zwrot w tej dziedzinie, który dopiero trzeba wypełnić treścią, zgodną z wypowiedzią Stalina o stosunkach radziecko - polskich: „Nie wierzcie naszym słowom, lecz wierzcie naszym czynom!"

Byłoby zbrodnią nie pomagać Pieckom i Grotewohlom w urzeczywistnieniu tych nowych stosunków, owianych duchem szczytnego internacjonalizmu, duchem braterskiego współżycia i współpracy ludów na stopie równości i wzajemnego szacunku. Tym ludziom można wierzyć, gdyż nie mają oni nic wspólnego z żarłoczną, żądną panowania i zysku klasą niemieckich obszarników i kapitalistów. Są to ludzie, walczący przez całe życie z niemieckim imperializmem i faszyzmem. Pierwsi padli ofiarą ich katowni.

Tak jak Rewolucja Październikowa i Zwycięstwo Radzieckie w ostatniej wojnie dało nam pokój i przyjaźń od wschodu, z którym żyliśmy tyle wieków w morderczych wojnach i wrogości, tak powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej na gruzach niemieckiego imperializmu zapewnia nam pokój i przyjaźń na zachodzie, wobec „odwiecznego" wroga, który oby stał się wiecznym przyjacielem...

Dopiero z perspektywy tych dwóch rewolucyjnych zmian, jakie zaszły w stosunkach Polski z jej wschodnim i zachodnim sąsiadem, możemy w pełni ocenić całą epokowość zmian, jakie dzieją się na tej przestrzeni, na gruncie socjalistycznego poglądu. Tu naprawdę powstaje Nowy Świat...

E. S.

LEOPOLD TYRMAND

Tajemnica kościoła św. Gertrudy

1. Miejsce i charakter miejsca

509 km od Warszawy, drogą żelazną na Malbork, Gdynię, Słupsk. Samo serce Pomorza Zachodniego. Miasteczko czyste, przez wojnę nietknięte i śliczne. Jakby wycięte z elementarza, z wypisów szkolnych, z ilustracji do bajek Grimma, albo lepiej — z kolorowego filmu rysunkowego. Kolorowy rynek z kolorowych, barokowo - małomiasteczkowych domków, nad którym wisi masyw wielkiej, późnogotyckiej fary. Brama obronna i zamek, stary, a wyniosły, nad groblą, obok młyna. I jeszcze coś w powietrzu, w atmosferze, w wietrze, w zimnym błękicie nieba. Jakaś bałtyckość i pomorskość bocznych uliczek i małych domków. Wszystkie miasta i miasteczka rybackie, małe porty, podupadłe w biegu dziejów, leżące na brzegach basenu morza Bałtyckiego mają coś nieuchwytnie wspólnego. Jest jakiś wspólny dźwięk w architekturze i atmosferze, taki sam w domkach, nadbrzeżach, kanałach i kościołach z polskiego Pomorza, wysp duńskich i łotewskich diun.

Rzeka, przecinająca miasteczko, zmienia się w długi kanał o spokojnych brzegach, nad którymi wśród jakby holenderskiej niskości i płaskości leży nieduży port przeładunkowy dla niedużych szkunerów węglowych i zbożowych. Są hałdy węgla, magazyny, portowe elewatory, stoją wagony kolejowe. Dalej ujście, port rybacki, spichrze o belkowanych żebrowaniach wśród czerwonej cegły, zapach ryb, dwa wyrzucone daleko w morze falochrony z ciężkich głazów. I kutry, duże kutry, małe kutry, czarne i sine, o czarnych żaglach i pokostowanych sterbudach. A wokół kutrów rybacka romantyka, przetkana wonią dorsza i śledzia, zwalistymi, kaszubskimi postaciami, gdzieniegdzie zakrzywioną fajką i ogorzałą twarzą z brodą, tak zwaną „rybacką". Ponieważ jednak sam opis to mało — miasteczko nazywa się DARŁOWO.

2. Pre-zdarzenie

W marcu prulismy małym, upartym Oplem przez Darłowo. Dobre kilkaset pomorskich kilometrów mieliśmy już na oponach, nie przytępiło to jednak naszej wrażliwości na rzeczy niezwykłe. „O, coś ciekawego..." — powiedział mój towarzysz podróży i zatrzymał wóz. Gwałtowny, wiosenny wiatr bałtycki poderwał nam płaszcze. Za murem cmentarnym, na lekkim wzniesieniu, widniała bryła rzeczy niezwykłej. Dwunastokątna, bardzo stara budowla kościelna, nakryta grzybowatym, łupkowym dachem, wydłużającym się pośrodku w arcysmukłą, lecącą w wietrzne, bałtyckie obłoki wieżą.

Ciężkie, gotyckie drzwi nie stawiały oporu. Ogarnęło mnie uczucie, jakby ktoś tu był w środku. Czy to szelest na górnej galerii, czy jakiś wyczulony, szósty zmysł, chwytający cudzą, ukrytą obecność? Ale nie, ciemnawe światło pochmurnego dnia, przebijające przez zakapturzone, gotyckie okna odsłaniało tylko niezwykłe wnętrze, pełne nieoczekiwanych, rzadkich wrażeń. Dwunastoboczna nawa, pełna naiwnych malatur, drewnianych stalli, drewniane, połamane organy, wiszące, rzezane w drzewie epitafia, na nich zatarte, XVIII-to wieczne daty, jakieś ciemne ze starości obrazy, w górze dziesiątki, może setki ostrołuków pogmatwanego, gotyckiego sklepienia. I świątkowy ołtarz z Wieczerzą Pańską w złoto-kolorowym drzewie, naiwniutki, wczesny barok mieszczański, zakurzony, pośc--ierany, z dwoma apostołami bez głów, na miejscach których roiło się od dziurek korników. Przed ołtarzem brud, kurz, podarte, protestanckie modlitewniki i kilka pustych butelek po reńskim winie.

Obejrzeliśmy sobie te zapuszczone śliczności. Gdy naciskałem potężną, kutą klamkę do wyjścia, znów jakby szelest na galeriach. „Jakby tam ktoś był..." — rzekłem. Mój towarzysz uśmiechnął się z właściwą mu, flegmatyczną ironią: „W antykwariatach Kopenhagi i Sztokholmu dobrze płacą za stare, pomorskie świątki z opuszczonych kościołów. A duńscy i szwedzcy marynarze z węglowych szkunerów mają w czasie załadunku wychodne...".

3. Wielka akcja Nr 1

W lipcu przyjechałem do Darłowa. Pierwszą wizytę złożyłem proboszczowi. Młody, energiczny, czarnowłosy ksiądz miał w tej sprawie wyrobione zdanie:

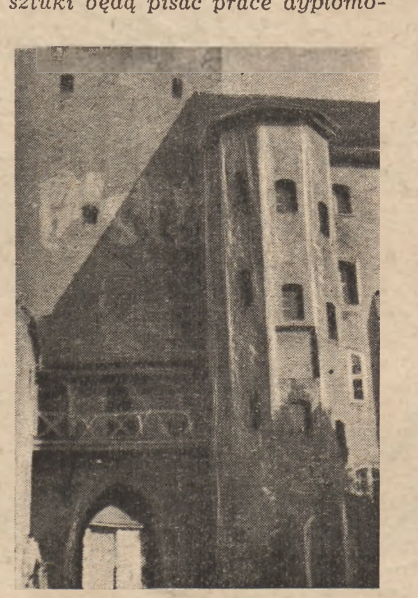
— Kościół ten stanowi miejsce kultu. Owszem, jest bardzo ładny, oryginalny i niewątpliwie cenny. Jeśli chodzi o mnie, to najchętniej zastąpiłbym obecne wyposażenie wnętrza, które zbyt tchnie protestantyzmem, czymś bardziej katolickim, zaś wszystko to oddał do muzeum. Cóż, kiedy nie mam funduszów, zaś czynniki miejskie nie interesują się tą sprawą.

Podziękowałem grzecznie księdzu, nie zgadzając się z nim w duchu absolutnie i poszedłem do Muzeum. Muzeum piszę z dużej litery, gdyż jest to jedna z najbardziej czarujących rzeczy Darłowa. Mieści się w starym zamku książąt pomorskich i zawiera, między innymi, średniowieczny miecz katowski, ząb rekina, ozdoby bronzowe z czasów prasłowiańskich, zatrutą strzałę i dzidy z Kamerunu, stare, śliczne meble, wspaniały zbiór ornitologiczny i mnóstwo cenności etnograficznych ziemi darłowskiej. Wszystko to z pietyzmem pielęgnuje starszy pan o imponujących siwych wąsach i zadziwiającym znawstwie języków obcych. Dyrektor, mimo zasadniczych z księdzem różnic światopoglądowych, okazał zupełną z nim zgodność w zapatrywaniach na los kościoła.

— Ja z chęcią przyjmę to wszystko. Ambonę mam już przecież — pokazał mi piękną, bogato w drzewie rzeźbioną, barokową ambnę, troskliwie zabezpieczoną w Muzeum — niech ksiądz resztę przywiezie do mnie, wezmę z podziękowaniem i tak będzie najrozsądniej. Trzeba by zainteresować tą sprawą Urząd Konserwatorski w Szczecinie. Najlepiej byłoby, gdyby się pan z nimi porozumiał.

Oświadczyłem, że moim zdaniem konserwatorzy wojewódzcy winni byli bez moich starań interesować się kościołem. Pożegnałem się w głębokim przeświadczeniu, że proponowane przez księdza i dyrektora rozwiązania wcale mi nie odpowiadają. I poszedłem do burmistrza. Tam, nie czekając na opinię, sam wygłosiłem dłuższe przemówienie.

— Ojcze miasta — przedkładałem namiętnie — macie u siebie zabytek — perłę, który powinien być otoczony najtroskliwszą opieką, do którego będą kiedyś ściągać wycieczki szkolne i harcerskie, o którym młodzi studenci sztuki będą pisać prace dyplomo-



Zamek książąt pomorskich w Darłowie.

we. Nic w nim nie powinno być ruszone, zaś wszystko pieczołowicie zachowane i chronione, odrestaurowane i sprzątnięte, a miasto musi się zdobyć na wysiłek i zaangażować specjalnego dozorcę, który zabytek upilnuje od kradzieży i utrzyma w należytym stanie.

Burmistrz kiwał głową, odniósł się raczej sceptycznie do proponowanego wysiłku, obiecał zaprosić mnie na zebranie Miejskiej Rady Narodowej, na którym, jak chcę, to mogę przekonywać radnych właśnie co do wysiłku i zanotował coś sobie w terminarzu. Na zebranie zaproszony nie zostałem, ale gdy w jakiś czas później zaszedłem do kościoła, był on zamieciony. Natomiast na ołtarzowej rzeźbie widniały świeże rany. Już tylko Chrystus i pięciu apostołów mieli głowy. Gdy pytałem okolicznych mieszkańców, co o tym sądzą, odparli, że są to sprawdziany postępów, jakie młodzież darłowska do lat 12 czyni w strzelaniu z procy na dystans opuszczonej przez wszystkich, zabytkowej nawy.

4. Co mówi przeszłość daleka?

W pradawnych czasach stało na miejscu zamku darłowskiego drewniane grodziszcze wraz z przylegającą doń rybacką osadą. Niemiecki geolog, prof. Keilhack, ręczy za to całym swym autorytetem, a takie świadectwo jest dla nas coś warte. Nazwa grodu była Derłów, lub Dirłów, zamieszkiwali go i bronili Pomorzanie-Słowińcy, rybacy i rolnicy, prawi posiadacze tej ziemi.

Dalsze losy Darłowa odpowiadają losom reszty Pomorza Zachodniego, nieszczęsnego kraju, w którym tylko władcy i pariasi należeli do jednego narodu. Światopełk, syn Mieszka I, prawy Piastowicz, założył dynastię Gryfitów, książąt pomorskich, którzy 500 lat rządzili tym krajem i w których drzewie genealogicznym naliczyć można 14 Bogusławów, 10 Warcisławów, 9 Kazimierzy, 5 Swanciborów. Jakże zadziwia perfidia niemiecka, której zdobyczą było, że na stolcu książęcym siedział Sambor czy Mszczuj, a każde miasto pomorskie miało getto, tzw. „Wendenzirkel", dla pogardzanej hołoty, owych słowiańskich „Wendów", z których plemienia wywodził się książę. A z drugiej strony jaka bezsilna wściekłość trzęsła niemieckimi historykami, gdy na dokumentach pomorskich znajdowali samych „Bogislavów" i „Casimirów", których nijak przerobić nie można.

Derłów, zdobyty w trakcie niezliczonych walk średniowiecznych przez Wisława II, zniemczonego księcia Rugii, dostał w 1270 roku lokację kolonistów niemieckich, przestał być Derłowem i stał się na długie wieki Rügenwalde. Gdy w początkach XIV wieku Jaśko Święca, z możnego rodu Święców (zwany przez niemieckich historyków „Jasko von Swenzo"), we własnym mniemaniu dobry Polak i stronnik Władysława Łokietka, otrzymuje spalone i zniszczone „Ruyenwolde", pierwszym jego krokiem jest sprowadzenie 5 niemieckich osadników. W 50 lat później jest już w owym łacińskim „Ruyenwolde", przy polskim kasztelanie, niemiecka „Wendenstrasse", na której gnieżdżą się w nędznych lepiankach pomorscy Słowińcy.

Późniejsze dzieje Darłowa niepozbawione są pewnej chwały, najznaczniejszej w XV i XVI wieku, gdy miasto należało do Hanzy, miało 100 okrętów i słynęło z delikatnego smaku wędzonych tu półgęsków i kiełbas. Tradycja tych specjalności przetrwała, według mych badań, po dziś dzień. Wielkie czasy Darłowa to jednak owe 10 lat (1449—1459), gdy na zamku darłowskim dochodził końca swego burzliwego życia król Eryk Pomorski, ongiś władca Danii, Szwecji i Norwegii, jedna z najbujniejszych postaci swej epoki. Ten Gryfita, syn Warcisława Słupskiego, odziedziczył po ciotecznej babce Margarecie tron duński i odtąd wojował przez 25 lat o utrzymanie w swym ręku całej Skandynawii. Zrzucony z tronu zarył się w fortecy Visby na Gotlandzie, skąd niebawem zasłynął jako najgroźniejszy korsarz na cały Bałtyk. W końcu zmęczony, syt przygód i zrabowanych skarbów, o których krążyły legendy, wrócił do ojczyzny i osiadł na zamku darłowskim. Z powrotem tym wiąże się podanie, tyczące interesującego nas kościoła. Sztorm był wtedy straszliwy, jak mówi pieśń i spienione fale wyrzuciły okręt Eryka aż u stóp wzgórza, oddalonego o 2 kilometry od brzegu. „Wszyscy myśleli, że to śmierć, a było to ocalenie!" Wdzięczny Eryk padł na kolana i przyrzekł ufundować kościół. Kościół ten stanął pod wezwaniem świętej Gertrudy z Brabantu, patronki wędrowców, obieżyświatów, a także niepochowanych zmarłych.

5. Wielka akcja Nr 2

Po rozmowach z księdzem, dyrektorem i burmistrzem postanowiłem działać inaczej. Zabrałem się do badania przeszłości kościoła i najrozmaitszych o nim opinii. Praca była dość żmudna, ale wyniki nader ciekawe, jeśli nie rewelacyjne. Dokładnej daty budowy nie sposób było nigdzie znaleźć. Najstarsze dokumenty, dotyczące kościoła św. Gertrudy w Darłowie to 6 średniowiecznych fascykułów bez daty, zawierające rachunki kościelne i przechowane w archiwum szczecińskim. Zdania uczonych odnośnie architektonicznej metryki kościoła są podzielone. Polski historyk sztuki, Gwido Chmarzyński, pisze o nim: „...Gdy znajdujemy się w tak niecodziennym rozwiązaniu gotyckiego wnętrza nasuwa się wrażliwemu widzowi skojarzenie z legendarną świątynią Graala... Źródło darłowskiej budowli wydaje się znajdować w praskiej sztuce Karola IV...". Niemcy Kugler i Kantzow dowo-



Kościół św. Gertrudy w Darłowie.

dzą, że kościół przypomina wzory nordyckie i budowany był przez jakiegoś skandynawskiego mistrza. Ta teza potwierdzałaby przypuszczenie, że budował król Eryk, który do końca życia żywił słabość do wszystkiego, co skandynawskie. Tym samym czas budowy wypadłby na połowę XV wieku. Niektórzy uczeni twierdzą, że kościół jest dużo starszy, zaś wyposażenie, pochodzące z okresu wojny 30-letniej, niczego nowego do dyskusji nie wnosi.

Ale nie w tym istota rzeczy. Najciekawsze dopiero następuje, bo oto w jednym z XIX-wiecznych opisów kościoła znalazłem takie informacje: „...W czasie od 26 maja do 30 maja 1860 roku wnętrzne kościoła zostało starannie wybielone... Starzy ludzie przypominają sobie, iż ściany kościoła przed bieleniem i tynkowaniem pokryte były starymi malowidłami...". Źródło to nie podaje konkretnych powodów tynkowania. Ostatecznie nie należy do czynności nazbyt zrozumiałych grube bielenie wewnętrznych ścian zabytkowego, średniowiecznego kościoła. Nie wydaje mi się, aby zwykły, ordynarny, biały tynk dodawał smaku staremu gotykowi i aby postępowanie takie miało świadczyć o pietyźmie dla starych malowideł i fresków. Po pewnym czasie i samym Niemcom taki otynkowany stan rzeczy musiał się wydać mało naturalnym, gdyż w roku 1912 postanowiono wnętrzne kościoła poddać dokładnej renowacji. Powołana została specjalna komisja historyków sztuki, plany renowacyjne sporządził znany specjalista, prof. Sackur z Politechniki Gdańskiej, zaś prace konserwatorskie prowadzić miał prof. Kutschmann z samego Uniwersytetu Berlińskiego. I oto, co w 1925 roku pisze o tych pięknych zamierzeniach dr Karl Rosenow, niemiecki historyk i badacz ziemi darłowskiej: „...Chociaż natrafiono pod warstwą białego tynku na stare malowidła postanowiono jednak zostawić otynkowanie nietknięte... (zdaniem komisji). Widok pokrytych freskami i malowidłami ścian, miast podnosić na duchu, robiłby raczej przygnębiające i męczące wrażenie i psułby szlachetne, czyste formy gotyckiego sklepienia..."



Wielka baszta z XIV wieku, centralna część zamku darłowskiego.

Tyle historycy niemieckiej sztuki i aczkolwiek nie mam na to danych, aby sądzić ich wyrafinowanie estetyczne, to jednak nie cenię ich aż tak nisko, aby uwierzyć, że woleli bezmyślnie otynkowane, gotyckie wnętrzne od tegoż, lecz pokrytego autentycznymi, ciemnymi ze starości malodłami.

6. Co mówi przeszłość bliższa?

A może, aby zrozumieć cokolwiek z postępowania niemieckich „opiekunów" kościoła należałoby przyjrzeć się bliżej datom. Jest więc rok 1860. Rok przed tym powstał szowinistyczny, imperialistyczny Związek Narodu Niemieckiego. Od lat kilku wygłasza zaciekłe, pełne „żelaza, ognia i krwi" przemówienia młody arystokrata, niejaki Otto Leopold von Bismarck. Ujęte w niezawodne klamry administracji i militaryzmu Prusy coraz wyraźniej dążą do hegemonii, depcząc postulaty federalizmu niemieckiego i stawiajac hasła unii, ścisłego związku pod pruskim przewodem. Ponura prężność Prus imponuje już młodym Bawarom, Hannowerczykom i Badeńczykom. Młodzi junkrowie zaczytują się Fichtem, wzbogacone mieszczaństwo i drobnomieszczaństwo. Moltke tworzy armię, która niebawem ma urosnąć do potęgi mitu, niebawem Wagner wskrzesi wszechogarniające, germańskie mity, w imię których popłynie wiele krwi. Już się śpiewa „Deutschland über alles", idealizuje rycerstwo średniowieczne, misję cywilizacyjną na wschodzie, święte cesarstwo narodu niemieckiego i Zakon Krzyżowy. Wzbiera fala nacjonalizmu, która nie opadnie, aż do roku 1918. A w tym samym czasie, w samym środku Pomorza, w kolebce potęgi wojskowej Prus fryderycjańskich, na ziemi będącej niewysychającym źródłem pierwszorzędnego, grenadierskiego rekruta stoi kościół, którego ściany pokryte są pięknymi, starymi malowidłami. Jeśli właśnie w tym czasie ściany te bieli się pośpiesznie, w ciągu 4 dni, to coś na tych ścianach musi być tak niemiłego, lub niewygodnego, że się o tym nawet ani mówić, ani pisać nie chce. Ale właśnie co?

Jest rok 1912. Mania wielkości i zarozumiałe szaleństwo miłościwie panującego cesarza Wilhelma II, śmiesznego, niedużego pana ze sterczącymi wąsikami i głupimi oczkami, błyszczącymi zaczepnie spod wiecznie wojskowych nakryć głowy, doszła do zenitu. Wojna jest nieunikniona, ale nikt nie uwierzyłby, że Niemcy mogą ją przegrać. Lord Haldane, który w tym roku przybywa do Berlina z propozycjami ograniczeń zbrojeń morskich zostaje odesłany z kwitkiem przy akompaniamencie zaślepionej dumą i krzepą prasy niemieckiej. Szowinistyczny imperializm pęcznieje do monstrualnych rozmiarów. Komisja Osadnicza Hakaty, teraz już „Ostmarkenvereinu", otrzymuje astronomiczną sumę 1 miliarda marek na Drang nach Osten, na walkę z Polakami, na wykorzenianie słowiańszczyzny, na Kulturkampf. Właśnie gdy ten Kulturkampf gorzeje w Poznańskiem, na bliskim zapleczu historycy sztuki badają otynkowane ściany kościoła św. Gertrudy. Oczywiście, że biały, ordynarny tynk na gotyckich łukach razi oczy estetów. Rzecz jasna, wnętrzne nabrałoby zupełnie innego, pełnego stylu charakteru, gdyby przywrócić mu jego dawny koloryt. Lecz w rozmowach profesorów szepce się, że są tam rzeczy, których lepiej by może teraz nie odsłaniać, które miast podnosić na duchu robiłyby raczej przygnębiające wrażenie i psułyby szlachetną formę gotyckiego (czytaj: niemieckiego!) sklepienia... Ale właśnie jakie rzeczy?...

7. Zakończenie wraz z apelem

Król Eryk Pomorski, Gryfita, pan w Kopenhadze i Sztokholmie, a potem na skalnych twierdzach Visborga, pielgrzym do Ziemi Świętej, legendarny pirat i przypuszczalny fundator kościoła, miał żywe związki z Polską i żywił wiele sympatii dla Jagiellonów. Do Polski jeździł kilkakrotnie i bywał na krakowskim dworze. Jego kuzyn, podopieczny i następca, Bogusław IX Słupski, pojął, za jego wolą, polską księżniczkę za żonę. Eryk marzył o pomocy Polski przeciw Skandynawom i choć nigdy do tego nie doszło, otaczał Polskę ciepłym uczuciem, całkiem u Gryfitów pomorskich niezwykłym. Te okoliczności radziłbym mieć przyszłym badaczom zagadnienia na względzie.

Darłow, wraz z kościołem św. Gertrudy, leży obecnie w sercu polskiego Pomorza Zachodniego. Nie wiem, czy ktokolwiek z bohaterów niniejszego artykułu przewidywał taką ewentualność. Nie wiem, czy liczył się z taką możliwością król Eryk, kanclerz Bismarck, cesarz Wilhelm, albo profesor Kutschmann, konserwator. Tym nie mniej stan ten jest faktem dokonanym i moim zdaniem powinni wyciągnąć zeń konsekwencje wszyscy obecnie zainteresowani tą sprawą. A więc burmistrz, ksiądz i dyrektor Muzeum, czcigodni panowie konserwatorzy wojewódzcy ze Szczecina i centralni z Warszawy, oraz historycy i historycy sztuki z całej Polski. Konsekwencje te trzeba wyciągnąć w imię wycieczek szkolnych i harcerskich, które ciągnąć będą na darłowskie wzgórze, w imię przyszłych prac dyplomowych przyszłych historyków, a przede wszystkim w imię pasjonującej tajemnicy, jaką kryć mogą grubo otynkowane niemal przed wiekiem, stare, gotyckie ściany kościoła świętej Gertrudy.

LEOPOLD TYRMAND

Radziecka i polska karykatura polityczna

Staraniem katowickiej delegatury Centralnego Biura Wystaw otwarta została w Katowicach w lokalu wystawowym przy ul. Dworcowej 13 niewielka wystawa radzieckiej i polskiej karykatury politycznej. Stanowi ona drugą część zespołu eksponatów radzieckich i polskich, które przeznaczono dla celów wystawowych z okazji miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej.

Trudno zresztą mieć żal o szczupłość tego pokazu, skoro lokal katowicki i tak większej wystawy by nie pomieścił. W sumie oglądamy na niej 17 prac następujących artystów radzieckich: Juliusza Ganfa, Borysa Jefimowa, Leona Brodatego, Jelisejewa i słynnych Kukryniksów. Z karykaturzystów polskich wystawa zawiera reprodukcje prac K. Baranieckiego, St. Brzozowskiego, H. Grunwalda, B. Linkego, Z. Lengrena, M. Piotrowskiego, J. Srokowskiego, I. Witza i J. Zaruby.

Charakter prac artystów radzieckich jest jednolity. Wszystkie one tkwią mocno w realiźmie, operują prostymi, jasno tłumaczącymi się środkami wyrazu, zamierzoną treść polityczną wypowiadają bez uciekania się do efektownych ujęć formalistycznych. Znać w nich wyraźnie unikanie wszelkiej zawiłości i elementów, które utrudniałyby bezpośrednią komunikatywność obra-



KUKRYNIKSY: Michał Kuprianow (ur. 1903 r.), Mikołaj Sokołow (ur. 1903 r.), Porfiriusz Kryłow (ur. 1902 r.) pracują wspólnie od roku 1926. Pierwszym ich wielkim sukcesem, który przyniósł im rozgłos była seria karykatur „Stara Moskwa". Ilustrowali klasyków rosyjskich, ale przede wszystkim znani są jako mistrzowie karykatury i plakatu

zu. Pokaz prac artystów polskich jest bardziej różnorodny formalnie. Widać tu wyraźnie większą, choć z umiarem przejawiającą się skłonność do efektownej deformacji, większą dbałość o szczegóły ich nagromadzenie, przy czym jednak czytelności obrazu to nie zaciera i niejednokrotnie uwieńczone jest doskonałymi rezultatami artystycznymi. Niesamowita i dziwaczna w pomysłach satyra rysunkowa Linkego stanowi tu wyjątek.

Całość pokazu ma też jednolity charakter tematyczny i ideowy. Wszystkie eksponaty to fragmenty i ogniwa wielkiej walki o pokój, walki przeciw anglosaskiemu imperializmowi i sprężynom nowej wojny. Ten najaktualniejszy dzisiaj i najbardziej palący temat stawia artystom duże wymagania, domaga się wielkiej inwencji i różnorodności pomysłów. Artyści radzieccy i polscy sprostali tym wymaganiom i mimo powtarzania się fragmentami niektórych pomysłów, wykazali świeżość koncepcji i różnorodność ujęć. Z artystów radzieckich pierwsze miejsce należy się tu trójce Kukryniksów, z polskich natomiast przede wszystkim trzeba chyba wymienić Zarubę, Lengrena i Piotrowskiego. (ki)

EGON NAGANOWSKI

TOMASZ MANN
WŚRÓD PRZYJACIÓŁ I WROGÓW

Gdy blisko dwa lata temu niejaki Ulrich Sonnemann mówił w nowojorskim „Towarzystwie Miłośników Literatury Niemieckiej" o „próżnym egocentryku, awanturniku i hochsztaplerze", o „pozornym tylko wrogu nazistów" i „zmanierowanym, wyśrubowanym" styliście, miał na myśli tego samego Tomasza Manna, którego niedawno, 1 sierpnia 1949 roku antyfaszystowski poeta Johannes R. Becher witał w Weimarze jako „największego żyjącego pisarza niemieckiego", jako „znakomitego spadkobiercę dziedzictwa Goethego" i „sławę Niemiec". Tak już jest od lat, od przeszło ćwierć wieku. Od przeszło ćwierć wieku jedni rodacy Tomasza Manna rzucają nań kalumnie i obelgi, a drudzy darzą go miłością i podziwem. Dzieje stosunku Niemców do Tomasza Manna są ciekawym rozdziałem z dziejów współczesnego niemieckiego ducha, tak jak sam Mann jest tego ducha doskonałym wyrazicielem, krytykiem i reprezentantem.

Kiedyś, przed pierwszą wojną światową autor „Buddenbrooków" i „Śmierci w Wenecji" był dosyć typowym, choć literacko-świetnym i niezwykle fascynującym pisarzem-dekadentem, dalekim od spraw politycznych i społecznych i zwolennikiem tzw. czystej sztuki, nie mającym faktycznego kontaktu ani ze swą własną klasą mieszczańską, ani tymbardziej z ogółem społeczeństwa, od którego dzieliła go przepaść na wpół bolesnej, na wpół wyniosłej samotności. Potem, podczas wojny, pisząc obszerną publicystyczną pracę pt. „Rozważania człowieka apolitycznego" Tomasz Mann zeszedł z wieży z kości słoniowej po to, by mówić Niemcom o tym, co słyszeć chcieli, o ich wyższości kulturalnej, o ich specjalnej roli w Europie i niebezpieczeństwach „ideotycznego — cytuję dosłownie — przeceniania parlamentu i demokracji". Wtedy po raz pierwszy i ostatni towarzyszyły słowom Manna brawa konserwatystów i nacjonalistów, brawa, które niebawem przerodzić się miały w coraz hałaśliwsze objawy niezadowolenia, w sykania i gwizdy.

Gwizdami bowiem i „głośnym szuraniem nogami" — jak zaznaczył jeden z ówczesnych sprawozdawców prasowych — zareagowała młodzież mieszczańska na przemówienie „O niemieckiej republice", które 50-letni blisko pisarz wygłosił w r. 1923 w Berlinie. Od tego przemówienia datuje się zasadniczy zwrot w zapatrywaniach autora „Czarodziejskiej Góry", datuje się wychowawcza działalność, prowadzona przezeń z rosnącym natężeniem i rosnącym poczuciem odpowiedzialności po dzień dzisiejszy. Przemówienie z r. 1923 udowodniło, że klęska Niemiec wstrząsnęła Mannem do głębi i kazała mu się zastanowić nad przeszłością i przyszłością narodu, nad sposobami jego rzeczywistej i trwałej odnowy, odnowy, która mogła się dokonać jedynie w duchu demokratycznym. Z biegiem lat droga wielkiego pisarza, stającego coraz wyraźniej po stronie postępu i drogą mieszczaństwa rozeszły się zupełnie. Mieszczaństwo bowiem nie chciało się niczego nauczyć z doświadczeń przeszłości, głosiło nadal



Plac Demokracji w Weimarze rys. Ingeborga Navara

szowinistyczne hasła i w końcu w olbrzymiej większości poszło za Hitlerem. Wprawdzie potomek patrycjuszowskiej rodziny lubeckiej nie przestał się uważać za mieszczanina, czuł się nadal związany z kręgiem mieszczańskiej kultury i długo jeszcze żywił nadzieję, że niemiecki „Bürger" stanie się w końcu jednak prawdziwym demokratą. Rewizjonizm jednak, który Mann w odniesieniu do tradycyjnego bagażu ideowego swej klasy i swego narodu głosił, zgubne wielkości i mity, które odrzucał i socjalizm, którego nieuchronne zwycięstwo nie bez pewnego lęku i zarazem nie bez określonych nadziei wieścił — wszystko to sprawiło, że autora wydanych w r. 1930 essayów pt. „Kultura i socjalizm" ogłoszono „zdrajcą" i „czerwonym radykałem" co w oczach wielu było jednym i tym samym. Podziwiano talent pisarza — cóż było robić, kiedy cały świat go podziwiał — lecz jednocześnie zatykano z oburzeniem uszy, nie chcąc słyszeć ostrzeżeń zawartych w „Apelu do rozsądku" (tytuł innego essayu), apelu, będącego tak bardzo na czasie wobec coraz głośniej maszerujących kolumn SS i SA.

Po objęciu władzy przez Hitlera Mann znalazł się na emigracji, w antyfaszystowskim obozie. Prowadząc za czasów republiki weimarskiej walkę w pojedynkę, bez bliższej łączności z socjalistami i komunistami, zbliżył się obecnie do działaczy i pisarzy lewicy i razem z nimi, jako rzecznik zdrowych sił niemieckiego mieszczaństwa utworzył wspólny front przeciwko barbarzyństwu. Nie rezygnując z apelów pod adresem swej klasy, pragnąc ją jeszcze zawrócić z fatalnej drogi i skłonić do nawiązania do pięknych humanistycznych tradycji z czasów Goethego — m. in. w tym celu napisał powieść „Lotta w Weimarze" — Tomasz Mann nawoływał jednocześnie zachodnią Europę do przeciwstawienia się Hitlerowi, do poparcia republikańskiej Hiszpanii, a w r. 1938 przemawiając w nowojorskim Madisson-Square Garden do 20 tys. słuchaczy napiętnował w mocnych słowach monachijską kapitulację. „Najstraszniejszym przeżyciem" dla niemieckiej emigracji jest fakt — mówił wtedy — że „Europa, do której się przyznaliśmy i o której sądziliśmy, że mamy ją po swojej stronie, w rzeczywistości wcale po naszej stronie nie stanęła... upadku narodowo-socjalistycznej dyktatury wcale nie pragnęła".

Gdy wybuchła wojna i autor „Historii Jakubowych" mieszkał już na stałe w Ameryce, zza oceanu zaczął się rozlegać na falach eteru uporczywy, zaklinający, czasem gniewny, a zawsze pełen głębokiej troski głos, dobijający się do odbiorników w III Rzeszy. W 55 prelekcjach radiowych wygłoszonyąh w latach 1940—1945 Tomasz Mann przepowiadał upadek hitleryzmu i wzywał do wyzwoleńczego czynu. „Niemcy — wołał — nie dopuśćcie do ostateczności! Sami winniście zrzucić podłą, poniżającą was władzę... Udowodnijcie, że narodowy socjalizm i Niemcy to nie jest jedno i to samo". Ale w miarę jak czas mijał i apele do narodu niemieckiego, podobnie jak przedtem apele do niemieckiego mieszczaństwa, pozostawały bez skutku, bez echa, zdawały się trafiać w próżnię, w przemówieniach Manna pojawiała się coraz częściej nuta goryczy i zwątpienia. Nie ucichła ona bynajmniej po kapitulacji III Rzeszy. Dlaczego?

Otóż dlatego, bo okazało się, że to nie tylko hitlerowcy pałali nienawiścią do „zdrajcy" Tomasza Manna. Również rzekomi przeciwnicy regime'u, tzw. „wewnętrzni emigranci" z pisarzem Frankiem Thiessem na czele zaczęli niebawem gwałtowną antymannowską kampanię, zarzucając pisarzowi, że opuścił ojczyznę w nieszczęściu, by wieść wygodne życie w bezpiecznej Ameryce. W rzeczywistości „wewnętrznym emigrantom", którzy przez 12 lat milczeli jak zaklęci, chodziło o wybielenie własnej przeszłości, o zrobienie z siebie męczenników, którymi nigdy nie byli ani być nie chcieli. Krzyk ich jeszcze się wzmógł, gdy Mann przerażony wieściami z Niemiec i do żywego oburzony krzywdzącymi napaściami na swoją osobę wygłosił 1 stycznia 1946 r. przez rozgłośnię londyńską dłuższe przemówienie, w którym nawiązując do głosów żądających jego natychmiastowego powrotu do Niemiec, zapytał się, czy po to ma przyjechać, by pędzić życie „pod ochroną alianckich bagnetów". Na to znów odezwał się Frank Thiess, rozdzierając szaty nad dezercją i upadkiem twórcy, którego — jak się wyraził — „ongiś kochał i podziwiał". I odtąd, do chwili obecnej, różni ekshitlerowcy, eks-kolaboracjoniści czy rzekomi demokraci nie pomijają żadnej akcji ani żadnego kłamstwa, by zdyskredytować człowieka, który im tyle gorzkich prawd powiedział w oczy, który przez 12 lat „tysiącletniej Rzeszy" odgrywał rolę natarczywego głosu sumienia. I tak w Niemczech zachodnich rozgłaszano — jak to się zdarzyło w r. 1947 — że Tomasz Mann chciał swego czasu pójść na kompromis z reżimem hitlerowskim i tylko brak należytego zrozumienia ze strony Goebbelsa uniemożliwił te zamiary. Utrzymywano też, że pisarz, który był zawsze kiepskim Niemcem i przyjął jakoby z ochotą obywatelstwo amerykańskie, okazuje obecnie wyniosłą obojętność dla losu dawnej swej ojczyzny, przy czym nie brano pod uwagę ani słynnego przemówienia „O Niemczech i Niemcach" wygłoszonego po zakończeniu wojny w Nowym Jorku, ani wielkiej powieści pt. „Doktor Faust", bolesnej książki, świadczącej o głębokim przeżyciu przez autora niemieckiej tragedii, o wzięciu na siebie współwiny, o krytyce i samokrytyce podjętej z „gniewnej miłości" a z myślą o lepszym jutrze niemieckiego narodu. Ale te i tym podobne insynuacje, które wrogowie Manna usiłowali poprzeć zarzutami natury literackiej, ustąpiły ostatnio miejsca napaściom bardziej jeszcze charakterystycznym, demaskującym w zupełności istotne motywy powodujące paszkwilantami. Stało się to jasne po wystąpieniach pisarza w obronie prześladowanych w USA działaczy postępowych z Gerhardem Eislerem na czele, po napiętnowaniu przez niego reakcyjnej i imperialistycznej polityki amerykańskiego Departamentu Stanu, po oświadczeniach popierających obradujące w różnych miastach Europy i Ameryki kongresy zwolenników pokoju. Że z ukrywanym zadowoleniem zatarli sobie ręce, że oto ten, który uzurpuje sobie — tak to się nazywa — prawo do nauczania Niemców demokracji idzie sam na lep komunistycznej a więc — jak się podkreśla — antydemokratycznej propagandy. Mann powiedział przecież, że „nie można sobie wyobrazić przyszłości bez komunistycznych cech".

Gdy pisarz przyjechał w sierpniu br. na uroczystości ku czci Goethego do Niemiec, po raz pierwszy od 16 lat, długa i wulgarna kampania propagandowa przeciw niemu prowadzona w strefach zachodnich wydała pożądane owoce. W czasie pobytu w Frankfurcie nad Menem Tomasz Mann otrzymał kilkaset listów z pogróżkami i złorzeczeniami, cały sztab tajnych agentów policji musiał go chronić przed wystąpieniami nacjonalistyczno-reakcyjnych fanatyków a prasa publikowała napastliwe artykuły bijące wszystkie dotychczasowe rekordy. Nie święte oburzenie zachodnio-niemieckich pismaków wywołał fakt, że Tomasz Mann wbrew „ostrzeżeniom" i „dobrym radom" pojechał z Frankfurtu do strefy wschodniej, do Weimaru, by również tam, w miejscu, gdzie Goethe spędził większość swego życia złożyć hołd genialnemu poecie. Wtedy odpadły ostatnie hamulce. Słowa jak „zdrajca", „trywialna zdrada", „pogarda dla narodu", „pomoc dla wyzysku i przemocy" itp. pojawiły się jak na komendę. Jakby tego jeszcze było mało, zarzucano nawet, że Tomasz Mann pojechał do strefy wschodniej tylko dla „zarobienia" — dosłownie — 20 tys. marek związanych z weimarską nagrodą im. Goethego.

I cóż to takiego powiedział w Weimarze „zdrajca" i „zeszfiarz" Tomasz Mann? Otóż opowiedział się za pokojem, za zgodnym współżyciem „zachodu" ze „wschodem", za jednością Niemiec. A któż miałby dziś — wyraził się — jedność tę gwarantować i reprezentować, jeżeli nie niezależny pisarz, którego prawdziwą ojczyzną jest wolna, niepodzielona na strefy mowa niemiecka?

Z wywiadów prasowych udzielonych po powrocie z Niemiec zagranicznym dziennikarzom wynika, jak duże wrażenie wywarła na Mannie bytność w Weimarze. Po napaściach frankfurckich serdeczna, pełna czci atmosfera weimarskich uroczystości, w których wzięli udział nie tylko czołowi niemieccy pisarze postępowi z Becherem i Anną Seghers na czele, ale też licznie reprezentowani robotnicy, przekonała autora „Doktora Fausta", gdzie ma w Niemczech prawdziwych przyjaciół, gdzie dzieła jego pełne wzniosłego humanizmu, znajdują odpowiednie zrozumienie i mogą się naprawdę przyczynić do budowy innych, lepszych, pokojowych Niemiec. A o to przecież Mannowi chodzi. „Pokój — pisał jeszcze w r. 1947 — jest wielkim, jedynym zagadnieniem ludzkości. Wartość dzieła sztuki będzie się w przyszłości oceniało mimo woli według tego, na ile ono potrafiło się przyczynić do szerzenia ducha pokoju. Ścisłe powiązanie dzieła sztuki z myślą o pokoju i lepszej przyszłości jest więc nieodpartą koniecznością".

Egon Naganowski

ZDZISŁAW OBRZUD

Dwa wznowienia klasyków francuskich

Stendhal: ŻYCIE HENRYKA BRULARD — Przełożył i wstępem opatrzył *Tadeusz Żeleński-Boy*. Okładkę projektował Mieczysław Piotrowski. „Książka i Wiedza" Warszawa, r. *1949*.

Anatol France: W CIENIU WIĄZÓW — Przekład *Jana Stena*. Okładkę projektował Mieczysław Piotrowski. „Książka i Wiedza" Warszawa, r. *1949*.

Książka i Wiedza wydała dwa wznowienia dzieł klasyków prozy francuskiej: *Stendhala* i *France'a*. Pierwsza książka to pamiętnik pisarza, dzieje chłopięctwa i młodości Henryka Beyle (Stendhala). Autor opowiada w nim o swoich rodzicach i krewnych, o rygorystycznym wychowaniu w duchu klerykalizmu i ciasnej zachowawczości. Przedstawia bunt wcześnie rozbudzonego chłopca i jego rozwój umysłowy pod wpływem lektury, prądów burzliwej epoki i światłych szermierzy postępu. Chociaż swoją autobiografię doprowadził Beyle-Stendhal tylko do roku 1800, znajdujemy w niej nieomal pełny obraz przełomowej epoki: Wielkiej Rewolucji Francuskiej i epopei napoleońskiej. Sylwetka psychiczna autora „Pustelni parmeńskiej" wyrasta na tle i pod wpływem epoki zwycięskiej walki mieszczaństwa francuskiego z feudalizmem i wpływami duchowieństwa, oraz ciosów zadawanych przez armię Pierwszej Republiki Francuskiej armiom rządzonych absolutnie i reakcyjnych państw środkowej i wschodniej Europy.

Dzieje trudności, konfliktów i szarpań się chłopca utalentowanego, który przez swą rodzinę był uważany za „enfant terrible" i parszywą owcę, ukazują, jak pewne fakty i metody szablonowego i konserwatywnego wychowania rozstrzygają nieraz o całym życiu człowieka, warunkują jego charakter. Czytelnika dzisiejszego, który ma już za sobą rozwój i... potknięcia się analizy psychologicznej i zdobycze i pretensje szkoły psychoanalitycznej Freuda, zdumiewa bystrość introspekcji u tego żołnierza Bonapartego i żywość obrazu działania u niego kompleksu Edypa. Z kart pamiętnika stale przemawia do nas Stendhal-radykał, zaprzysiężony wróg rozpróżniaczonej arystokracji i przebiegłego duchowieństwa. Ale i klasie, z której pochodzi, mieszczaństwu, bynajmniej nie sprzyja. Spod pióra autora „Życia Henryka Brulard" często wyrywają się słowa potępienia i obelgi pod adresem klasy, która w latach: 1789—1799 zwyciężyła, aby stary ucisk ludu zastąpić nowym: kapitalistycznym, a w czasach restauracji oraz orleanizmu chętnie pokumała się z arystokracją rodowo-agrarną. Ojca swojego, którego Henryk Beyle nienawidzi z chorobliwą zaciekłością dziecka nienormalnego, czy zwichniętego przez błędy klerykalnego wychowania, piętnuje i... oczernia autor „Czerwonego i czarnego" właśnie jako typowego reprezentanta ograniczonej i sprzeciwiającej się postępowi społecznemu burżuazji.

W analizie różnorodnych, czasem bardzo skomplikowanych, własnych przeżyć wewnętrznych i w kreśleniu sylwetek psychicznych różnych swoich znajomych i krewnych przejawia się w „Życiu Henryka Brulard" ten sam mistrz realizmu francuskiego, którego bystrość obserwacji i znajomość tajników wnętrza ludzkiego stwierdzaliśmy w „Czerwonym i czarnym" i „Pustelni parmeńskiej". Ukazuje swoje oblicze malarz stanów świadomości, zdolny wyrażać nawet bardzo subtelne i przemijające odcienie przeżyć psychicznych i zuchwały bezwzględny odkrywca ludzkiej bestii, który bez wahania obnaża najbardziej nawet wstydliwie skrywane motywy ludzkich postępków. I — stwierdźmy to bez ogródek — znajdujemy w tym dziwnym i strasznym, nieuporządkowanym, z całkowicie romantyczną swobodą pisanym pamiętniku realisty, ale także i chciwego poszukiwacza przygód indywidualnych, wyraźny zarodek tego psychologizmu, który panował w ostatnich dwu dziesiątkach XIX stulecia, a w naszym stuleciu do szczytu i do karykaturalnych już objawów doszedł w utworach Prousta, A. Gide'a, Joyce'a, Céline'a i A. Huxleya.

Lekutra kart pamiętnika Henryka Beyle ukazuje niejeden rys niesympatyczny postaci jego autora. Ten żywot artysty i zbuntowanego dziecka nie nadaje się do lektury dla wyrostków i w ogóle dla ludzi moralnie i umysłowo niedojrzałych. Człowiek jednak gotowy przeczyta go z dużą korzyścią. Znajdzie w nim niesfałszowaną, nieupiększoną historię człowieka, który, acz błądził, to jednak ustawicznie poszukiwał prawdy. Znajdzie obraz porywów wielkiego artysty, który kochał Cimarosę, Mozarta, Dantego i Shakespeare'a. Do myślenia pobudzi go obraz fatalnych skutków złego wychowania. Żywo zainteresuje zawarty w nim obraz epoki: zwycięskich zrywów awangardy mieszczaństwa zachodnioeuropejskiego oraz kompromisów klasy mieszczańskiej z mieszczaniejącymi szlachcicami i duchowieństwem.

— — — — — —

Anatola France'a „W cieniu wiązów" to książka, która jest rozkoszą każdego miłośnika książki mądrej i artystycznej zarazem i każdego w ogóle rozumnego człowieka. Autor wprowadza tutaj czytelnika w środowiska: duchownych i dostojników kościoła katolickiego, intelektualistów zakochanych w książkach, dziełach sztuki i dialektyce, oraz oportunistycznych polityków burżuazyjnej Trzeciej Republiki Francuskiej w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia. Środowiska: zamiłowanych w książkach, badaniu naukowym i rozważaniach teoretycznych pracowników umysłowych i duchownych to dwa środowiska, które ze szczególną predylekcją przedstawia w swoich utworach autor „Poglądów księdza Hieronima Coignarda".

W siedzibie prowincjonalnego uniwersytetu i stolicy departamentu dwóch księży kandyduje do stolca biskupiego w Tourcoing: świetny homileta i surowy rektor seminarium, nieprzejednany wojownik Kościoła i wróg republiki liberalnej ksiądz Lantaigne i przebiegły i giętki ksiądz Guitrell, nie cofający się przed modernistyczną, niezgodną z oficjalną, interpretacją pewnych fragmentów ewangelii i uprawiający konszachty z przywódcą liberałów departamentu prefektem Worms-Clavelin. Ksiądz Guitrel, aby zjednać sobie poparcie wpływowego w ministerstwie prefekta, sprzedaje za bezcen „izraelitce" pani Worms Clavelin cyboria, ornaty oraz inne zabytki sztuki kościelnej. Sędziwy arcybiskup-kardynał nieśmiało tylko wysuwa kandydaturę swojego wikariusza generalnego księdza de Goulet, tylko dlatego, że obawia się, aby ksiądz de Goulet nie został koadiutorem w jego archidiecezji i nie wyrósł mu ponad głowę. Ostatecznie, biskupem nie zostaje gorliwy rektor i wybitny znawca filozofii katolickiej ksiądz Lantaigne, ani uczony i, równie jak ksiądz Lantaigne, osobiście uczciwy ksiądz de Goulet, tylko zdolny do kompromisów dyplomata ksiądz Guitrel. Jego popiera zarówno nuncjusz papieski, który ufa, że „postępowy" trochę ksiądz Guitrel „przeprowadzi korzystne pertraktacje z władzą świecką", jak i bezwyznaniowy prefekt, mason żydowskiego pochodzenia. Ta akcja zabiegów o infułę biskupią to jedyna akcja powieściowa niewielkiego utworu artystycznej prozy Anatola France'a zatytułowanego „W cieniu wiązów". Nikła to akcja i dzieło jest raczej utworem literackim na pograniczu powieści, dialogu fikcyjnego o celach dyskusyjno-poznawczych i portretu literackiego niż powieścią. Nie chodzi tutaj wcale o zdarzenia zewnętrznej akcji powieściowej — nie obrazami tych zdarzeń pragnie autor trzymać uwagę czytelnika w napięciu. Podobnie jak w „Wyspie Pingwinów" i „Tais", podobnie jak w wielu jego utworach, siła Anatola France'a tkwi w jego wspaniałych dialogach dyskusyjnych i świetnych charakterystykach penych postaci o cechach najlepszych klasycznych portretów. Tutaj święci tryumfy wspaniały francuski dowcip autora „Manekina trzcinowego", jego ciągle czujna inteligencja, zaprawiona w dialektyce, ujmująca bystro wewnętrzne przeciwieństwa spraw i psychik ludzkich, i jego wysoka moralność pisarza i myśliciela, zawsze dążącego do prawdy. W dyskusjach profesora wydziału humanistycznego prowincjonalnego uniwersytetu pana Bergeret z fanatycznym, ale i uczonym księdzem Lantaigne, w dyskusjach i gawędach kilku intelektualistów w tak ulubionej samemu autorowi, stylowej księgarni-antykwarni, urzeka nas i porywa czasem France-dialektyk, France-stylista i France-fanatyk kultury. Świetny zaś dyskutant i nieomylny mistrz francuskiej prozy raz po raz ukazuje swoje głębsze wnętrze: mądrego malarza i krytyka obyczajów politycznych i głęboko, pod maską ironii i klasycznej, starej kultury, czującego szermierza sprawiedliwości społecznej. W zgniłym, głęboko niemoralnym, nieszczerym kompromisie między księdzem Guitrel, a nawet samą wysoką nuncjaturą, a dygnitarzem wolnomularskim prefektem Worms-Clavelin ukazuje się dzisiejszemu czytelnikowi i dzisiaj aktualny alians Kościoła z finansjerą. Druzgocąca krytyka nierozumnego i niehumanistycznego nowoczesnego militaryzmu wraz z krytyką opacznego, błędnie pojmowanego i tyle razy zszarganego „honoru narodowego", to mocne słowa uczciwego człowieka, które budzą w nas żywy oddźwięk. *„W cieniu wiązów" to książka, którą z korzyścią i radością przeczyta nasz dzisiejszy czytelnik.* Wydając ją „Książka i Wiedza" dobrze się zasłużyła społeczeństwu.

Zdzisław Obrzud.

KOMUNIKAT

Redakcja tygodnika społeczno-literackiego „WIEŚ" ogłasza KONKURS NA REPORTAŻ O WSI
Nagrody:

I — 200.000 zł (Ministerstwo Kultury i Sztuki).
II — 150.000 zł (Ministerstwo Rolnictwa).
III — 100.000 zł (Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska").
3 następne — 150.000 zł (Zarząd Główny Z. S. Ch.).
2 następne — 100.000 zł (Ministerstwo Oświaty).
4 następne — 200.000 zł (Ministerstwo Lasów i Ministerstwo Poczt i Telegrafów).

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 grudnia br. Prace muszą być zaopatrzone w zdjęcia fotograficzne opisywanej wsi. Prace należy podpisać godłem. Imię i nazwisko dołączyć w zamkniętej kopercie. Autorzy niepublikujący jeszcze proszeni są o dołączenie w zamkniętej kopercie swego życiorysu.

Szczegóły konkursu w 46 numerze tyg. „Wieś" datowanym 15 listopada br.

Niemieccy pisarze w Polsce

W wyniku coraz żywiej rozwijających się wzajemnych stosunków kulturalnych polsko-niemieckich przybyła do Polski na kilka tygodni delegacja pisarzy i działaczy z ministrem oświaty Wandlem. W delegacji znajduje się dwóch pisarzy, poeta Johannes R. Becher, prezes centralnej organizacji kulturalnej Niem. Republiki Demokratycznej, Kulturbundu, oraz powieściopisarz, znany autor „Sporu o sierżanta Griszę", Arnold Zweig związany był przez dłuższy czas swego życia dość silnie z Katowicami. Tu miał licznych swoich przyjaciół, tu uczęszczał do gimnazjum, tu w znanej w swoim czasie księgarni Hirscha nawiązał pierwsze swe liczne kontakty literackie i artystyczne. Niedawno w jednym ze swych listów do polskiego tłumacza swych utworów w Katowicach nazywa Katowice miastem swojej młodości, w którym zawsze marzył o przerzuceniu mostów między sąsiednimi narodami.

A oto próbki z twórczości obu pisarzy.



JOHANNES R. BECHER
ŚMIERĆ GOETHEGO

Oczy ocienia daszek. Marcowego
Lśni światła blask. Przez szyby okien płynie
Do wnętrza ciepło, Ręka się Goethego
Podnosi drżąc, już pisać też zaczyna.

Pół leżąc, wparty w poręcz krzesła pisze
I z palców swoich ołówek wyostrza.
Pisze, a pisma niewidzialna postać
Rośnie w powietrzu w olbrzymie zarysy.

Stawia przecinek, kropkę. Coś wykreśla
Pisząca ręka w dół opada przy tym.
Wtłacza w powietrze pismo, które wisząc

Staje się wiecznie widoczne, podkreśla
Zdanie na znak, że jest w nim sens ukryty...
Umiera. Ręka pisze... Umarł pisząc.

Z niemieckiego przełożył
Aleksander Widera

ARNOLD ZWEIG
RATUJCIE PLANETĘ ZIEMIĘ



Rys. Emil Stumpp

Od roku już żyję w zniszczonym śródmieściu Berlina, w sektorze radzieckim. I gdy w październiku roku ubiegłego po raz pierwszy po piętnastu latach ujrzałem miasto ruin, w które zamieniła się najpiękniejsza architektonicznie okolica stolicy Rzeszy, gdy już w czasie podróży z Pragi w miejscu najpiękniejszych części Drezna ujrzałem ponurą pustynię zniszczenia, powiedziałem sobie: Takie jest prawo fizyki politycznej, reakcja wojny totalnej, na którą czeka się czasem dość długo, ale która pojawia się zawsze, by strącić zdobywcę do śmietnika, z którego, jak mówi Goethe, dźwiga się zuchwale.

Wśród tych wrażeń i refleksji przypomniał mi się ryk, który w dniu wybuchu drugiej wojny światowej przekazał mi mój aparat radiowy. Wówczas to w berlińskim Sportpalast zapytywał Goebbels, nieudana kreatura, zgromadzoną publiczność: Chcecie totalnej wojny? W odpowiedzi na to buchnął olbrzymi ryk: Tak! Nas jednak, którzy słyszeliśmy ów ryk na wysoczyźnie Karmelu ponad Haifą w Palestynie, ogarnął nagły lęk: co się stanie z narodem niemieckim, o którym wiedzieliśmy przecież, że nie jest on identyczny z hordą partyjników, ale że dotąd (jak i później jeszcze) walczył z systemem, z barbarzyńskim systemem przemocy i niewoli. Nie pamiętają oni — pomyślałem sobie wówczas — co wyrocznia delfijska powiedziała Krezusowi gdy przekroczyć miał rzekę graniczną Hadesu. Gdy się to stanie, Krezus zniszczy olbrzymie państwo. Krezus sądził, że zniszczy państwo sąsiedzkie, wyrocznia zaś myślała o jego własnym. Tak się też stało. Według praw fizyki każda wojna napastnicza uderza na koniec w napastnika. Żyć w kręgu takiego prawa totalnej wojny to rzecz bolesna ale pożyteczna. Jakiej reakcji jednak doczekaliby się ci, którzy zamierzają rozpętać najbardziej totalną wojnę przeciwko ludzkości? Jak będą wyglądać miasta Stanów Zjednoczonych, Detroit lub Nowy Jork, Waszyngton lub Los Angeles, jeśli nie uda nam się za pomocą najgorliwszych wysiłków przeciwstawić owej wojnie? Miasta, w których żyją spokojni, pracowici ludzie, wśród których niemało mamy przyjaciół. I o tym bowiem chcemy pamiętać.

Jeden z naszych wielkich, zmarłych niestety w r. 1946 kolegów, Wincenty Stefan Benétt opisał i ukształtował tego rodzaju los w swej wspaniałej i niesamowitej opowieści „Nad wodami Babilonu". W mistrzowskiej tej opowieści opowiada nam, jak to po pewnej wojnie światowej, o której nic bliższego nie podaje, ludność Stanów Zjednoczonych znalazła się na tym stopniu rozwoju i cywilizacji, na jakim biali zdobywcy zastali Indian w wieku XVIII. By zdobyć trochę metalu dla swoich włóczni mieszkańcy wysyłają młodych wojowników na wyprawy do „boskich zamczysk", jak nazywano zamarłe milionowe miasta ruin, o wysokich jak podniebne zamczyska stuokiennych domach, w otoczeniu borów i jezior, siedliska dzikich psów, zdziczałych kotów i demonów, zamieszkujących wysokie piętra. Opowieść mówi nam, jak to John, son of John, syn starszego kapłana i sam zresztą kapłan, przeprawia się na promie przez Hudson, wdzierając się w labirynt wysokich domów i ponurych ciemnych ulic, jak to wspina się schodami w górę potężnego niebotyku, by w jednym z najwyższych pokoi odkryć siedzącą w fotelu mumię jednego z owych bogów, wśród obrazów i przedmiotów ludzkiego codziennego użytku, boga w ludzkich szatach. John dawno już przypuszczał, że „zamczyska bogów" nie były zamieszkałe przez bogów lecz przez zwykłych ludzi. Teraz upewnił się w tym ponad wszelką wątpliwość. Jakaś katastrofa, jakaś wojna światowa musiała zniszczyć i wytępić tamtych ludzi, o których świadczą także resztki napisów, słowa, które odcyfrowujemy jako Waszyngton i Lincoln. Tak to pisarz-przyjaciel Benétt wyprorokował podżegaczom wojennym straszne przeciwuderzenie wymarzonej przez nich wojny, poprowadzonej przy pomocy bomby atomowej.

Toteż uważamy, że budowniczowie planów nowej totalnej wojny, budowniczowie planów napastniczych jak pakt atlantycki, winni na przykładzie zniszczonych miast niemieckich przestudiować skutki przeciwuderzenia totalnej wojny. Powinni oni nie tylko pędzić w swych pięknych samochodach przez ulice lub pokonywać w tak wygodny sposób przestrzenie między miastami, winni natomiast spędzić choćby jedną noc w ruinach, posłuchać szumiącego w ruinie wiatru, człapiącego deszczu, krzyku sów i kotów, by powiedzieć sobie: oto jest los, który chcemy zgotować naszej własnej ojczyźnie. I należy im zabronić działania typu marshallowskiego, gdyż o generale Marshallu mówią, że w czasie swych odwiedzin w Warszawie odmówił oglądnięcia ruin getta. Nie interesują mnie ruiny — miał oświadczyć polskim gospodarzom. Z naszego jednak punktu widzenia również i generałowie oraz dyplomaci okazać muszą zainteresowanie dla tego wszystkiego, co pochodzi od wojny totalnej, i to zarówno w kraju napadniętym jak i w kraju napastnika w wyniku naturalnej wojennej reakcji. I nie może się już więcej zdarzyć taki fakt, że wynalazca totalnej wojny generał Ludendorff dopiero w ostatnim roku wojny, mianowicie w roku 1918, ogląda zniszczenia, które spowodował i pozostawił po sobie w pięknej Francji.

Toteż starać się musimy o to, by wziąć dziś w obronę również i te kraje, które nie uległy jeszcze zniszczeniu. Walka o pokój to nasz obowiązek. Mieć jeszcze możemy przed sobą dziesiątki lat spokojnej pracy, nie chcemy się znaleźć na dnie śmietnika trzeciej wojny światowej, synowie zaś nasi i nasze wnuki spełnić muszą piękniejsze zadania, niż towarzyszyć kaznodziejom śmierci w drodze do nowego krwawego bagniska.

Przełożył z niemieckiego
WISZ.

Diariusz podróży do Warszawy

W dalszej drodze z X. Baką

Dnia 2 czerwca zdarzył mi się pielgrzym z Rzymu. — Dostałem od niego pięć paciorków z indulgencyami, dzwonek loretański, i wiele kosztownych rzeczy. W rozmowie z tym świętym człowiekiem, prawdziwie pożytecznie zaspokoiłem moją ciekawość. Był on w Rzymie, w Lorecie i za morzem w Palestynie. Dziwne rzeczy opowiadał. W jednym kraju włoskim widział górę wyrzucającą ogień, i zapewniał, że to było okienko do piekła. — Pisze o tem X. Poszakowski i nasz Baka toż samo potwierdza.

Dnia 3 Czerwca znalazłem przypadkiem rachunek sumienia córki mojej. — Chociaż charakter babski, niewyraźny, ile jednak mogłem wysylabizować, zdaje mi się, że myśli jej względem porucznika z Petyhoryi, mogą być słusznie podejrzane. — Sub secreto zatem, żeby matka nie wiedziała, moją własną ręką wyliczyłem rózek piędziesiąt, tłómacząc jéy za każdą plagą słowa Barniusza: „Momentaneum delectat, aeternum cruciat".

Dnia 4 Czerwca, udałem się z całym dworem do spowiedzi. — Równo z mojem przybyciem do kościoła przyprowadzono dwoje opętanych: mężczyznę, mającego około lat 50, wybladły, zmęczony, wnurzał tylko; kobieta zaś młoda i piękna, okrótnie dręczona była: najprzód wrzeszczała, udając rozmaite głosy, i śmiała się i płakała naprzemian. Obecność Xięży wielkie na niéj robiła wrażenie, nie dała się uspokoić, tylko na zaklęcie jednego kaznodziei, na którego rozkaz różnemi gadała językami. Co mi się najdziwniej wydawało, że oprócz rozmaitych sentencyi łacińskich, całą regułę z Alwaru: si rare praeteritum, na pamięć recytowała, czego ja sam nigdy doskonale nauczyć się nie mogłem. Przystąpiono wkrótce do exorcyzmu. — Tu aż strach wspomnieć: za każdem pokropieniem, zdawało się, że ją warem oblano, krzyczała wówczas: gorąco! gorąco! Po wielu kontrowersyach, utarczkach, zaklęciach, przyszło do tego, że bies wypraszać się zaczął. Nie wiem co się z niemi stało: przejęty bowiem bojaźnią i strachem, wyszedłem z kościoła; przytomny wszystkiemu X. Baka, rzekł do mnie: radbym bardzo, gdyby który z heretyków lub niedowiarków, był teraz obecnym, niechby się przypatrzył owym męczarniom, owym dziwom, i razem skutkom, czemu oni dotąd nie wierzą.

Po pięciodniowym pobycie w Różannym Stoku, podziękowawszy Przeorowi za uprzejme przyjęcie, kontynuowaliśmy dalszą drogę. — Żona moja przez kilka godzin ciągle zamyślona, zwierzyła mi się, iż po ostatniéj odbytej rekolekcyi, postanowiła cały swój wniosek, obrócić na fundusz jakiego klasztoru. — Nie mogłem tak pobożnej intencyi sprzeciwić się, ale nie mając od niéj uprawnionych jeszcze zapisów, byłem nieco w kłopocie i radziłem odłożyć tę materyą nadal. — X. Baka, przytomny naszéj rozmowie, z góry się przeciw temu protestował, dowodząc, że nigdy pobożnych intencyj odkładać nie należy, potém podług swojego zwyczaju wierszami nas napominał:

Mój Cześniku,
Lecz grzeszniku,
Klasztorowi zaraz daj:
Pomnij przecie,
W tamtym świecie
By nie było aj, aj, aj!
Zważcie sobie,
Gdy nie w grobie,
Póki zdrowa
Jeszcze głowa
Gdy wraz dacie Xiężom chleb,
Taki piekłu będzie sęk,
Że już djabeł, gdyby pęk,
Figle jego wezmą w łeb.

Wszak widzicie,
Takie życie
Wiodą grzeszni cały wiek;
Zrazu kary i ofiary,
Jakby nie miał umrzeć człek:
Lecą w piekło takich półki,
Bies ich łyka, jak gomułki!
Owo, owo,
Białogłowo,
Chcesz uniknąć wiecznych mąk
Użyć trzeba
Darów nieba,
To jest: oddać nam do rąk.

Przyrzekliśmy oboje X. Bace, powróciwszy do domu, zamiar nasz do skutku doprowadzić.

Dalsze stronice „Dyariusza" w nast. „Odrze"

Podał B. M. Długoszewski

„Wszechświat"

Jakie jest najstarsze polskie czasopismo? Niewiele osób będzie umiało odpowiedzieć na to pytanie. Pismem tym jest miesięcznik „Wszechświat", doskonały, bardzo żywo redagowany organ Polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika. Ukazał się właśnie 1799 numer; można więc łatwo obliczyć, że początek pisma sięga pierwszej połowy ubiegłego stulecia.

Jest rzeczą ciekawą, że w swych „Kronikach tygodniowych", niedawno wznowionych przez „Książkę" poświęcił „Wszechświatowi" sporo uwagi Bolesław Prus. W roku 1880 pisał autor „Lalki":

„Wśród powszechnej obojętności dla badań naukowych znalazła się jednak garstka ludzi, usiłująca obudzić w swoich ziomkach zmysł do natury i wiedzy. Ekscentrycy ci wydają pismo przyrodnicze „Wszechświat", w ten sposób, że do każdego z łaskawych czytelników [illegible] 2 ruble. Są to uczeni ludzie. [illegible]

— Ile pan masz rocznego dochodu? — spytałem go.

— Około tysiąca rubli — odparł.

— Czym się pan zajmuje?

— Biegam cały dzień z lekcjami.

— Gdzie pan robi swe doświadczenia?

— Czasami w szpitalnej aptece, a czasami we własnym piecu.

— A kiedy pan czyta?

— Po nocach.

— I tacy, jak pan wydają „Wszechświat". Po co?

— Po to, żeby rozbudzić zamiłowanie do nauk przyrodniczych. Mamy wprawdzie 600 prenumeratorów, których nie zostawimy bez duchowego obiadu."

Dziś, na szczęście, jest znacznie lepiej. „Wszechświat" jest czytywany powszechnie i posiada liczne zwolenników. [illegible] pismo popularno-naukowe.

W numerach ostatnich znajdujemy [illegible]

Z „Wszechświata" dowiedzieć się można m. in. jak zmieniła się czaszka ludzka w rozwoju dziejowym (artykuł W. Stęślickiej-Mydlarskiej), jak żyje olbrzymia ropucha amerykańska o 20 cm długości (felieton Z. Mellerta), [illegible] Kalinowskiego), a także w jakim języku wykładano chemię w Krakowie w XVIII wieku (po polsku, a nie po łacinie), oraz jakie są światowe zasoby ropy naftowej (I. Vetulani twierdzi, [illegible] że Stany mogą być zepchnięte ze swego dotychczas dominującego stanowiska).

W. L. N.

Festiwal muzyki ludowej na Śląsku

Refleksje repertuarowe, z których wynika konieczność uzupełnień repertuarowych i ożywienia obiegu dobrej literatury muzycznej i choreograficznej. Sprawa przykładowa: Dlaczego Zagłębie Dąbrowskie zapomniało o swej pieśni ludowej?

Pierwsze wiadomości o projekcie zorganizowania Festiwalu Muzyki Ludowej dotarły na Śląsk już z początkiem roku. Jeszcze nie był wówczas dokładnie sprecyzowany ani rozmiar, ani charakter imprezy, a jedynie chodziło o wytypowanie kilku ciekawszych zespołów, przygotowanie odpowiedniego repertuaru, z którym mogłyby one wystąpić przed mikrofonem Polskiego Radia. Nieco później dopiero nadeszły oficjalne zawiadomienia z Ministerstwa Kultury i Sztuki ustalając, iż będzie to akcja ogólnopolska, masowa, do kierowania której powołać należy specjalny Komitet Wojewódzki.

Wiadomości te wywołały na terenie Śląska duże zainteresowanie, zarówno w poszczególnych zespołach artystycznych, jak i ośrodkach kierowniczych. Opinia, oparta o istniejące zbiory etnograficzne, głosiła, iż mamy ciekawy i obszerny dorobek muzyczny, ale jaki jest aktualny stan posiadania, jaka jest popularność i żywość tej muzyki ludowej — oto były pytania, które się w owym czasie coraz częściej słyszało. One to potwierdzały, iż już samo nakierowanie zbiorowego zainteresowania na tę dziedzinę dorobku kulturalnego, jest dowodem celowości inicjatywy i przyczynić się może do ożywienia cennych zainteresowań kulturalnych.

Zadania, przed jakimi stanął Wojewódzki Komitet Festiwalowy — mimo wspomnianego zainteresowania — były trudne. Nie można było bowiem dążyć do masowości imprez bez zwrócenia uwagi na charakter programów. Jest przecież rzeczą powszechnie znaną, w jak wielkim stopniu zaśmiecony jest repertuar pseudoludowy literaturą muzyczną. Przy pomocy wszelkich dostępnych środków zmierzono do jej wyeliminowania, ale udało się to tylko częściowo. Mimo odpowiedniej akcji uświadamiającej, uparcie odzywały się tu i tam tandetne „ludówki". I byłoby rzeczą wskazaną kontynuowanie tej akcji uświadamiającej przez odpowiednie konferencje z kierownikami zespołów, pogadanki etc.

Usuwanie pseudoludowości to równocześnie budzenie zainteresowań, a z kolei i uświadomień prawdziwej ludowości, mającej swój wyraz bądź w czystej muzyce wiejskiej, bądź w artystycznych opracowaniach melodii ludowych. I nie można istotnej akcji eliminowania pseudoludowości wyobrazić sobie jedynie w postaci kontroli prewencyjnej, bez równoczesnego wzmożonego napływu nowej wartościowej literatury muzycznej.

Tak ogólnie powyżej zarysowana sytuacja różniczkuje się w poszczególnych dziedzinach artystycznych. Sprawa repertuaru zespołów śpiewaczych budzi stosunkowo najmniej wątpliwości. Nie znaczy to, by był on całkowicie wolny od nalotu pseudoludowości, ale że jest go mniej i może być zastąpiony wcale pokaźną i wciąż narastającą literaturą chóralną, prezentującą nowe opracowania muzyki ludowej. Repertuar zespołów muzycznych, a zwłaszcza tanecznych wymaga znacznych uzupełnień. Braki te wykazywały wielokrotnie i przedwstępne konferencje z poszczególnymi zespołami, a także dostrzegamy je w sprawozdaniach z różnych imprez w terenie. Obok eliminowania pseudoludowości, jako drugi postulat terenowy wysuwałaby się *konieczność odpowiednich uzupełnień repertuarowych, zwłaszcza podsycenie i zwiększenie obiegu wartościowej literatury muzycznej i choreograficznej.*

W przeglądzie zagadnień muzyki ludowej omówiono nasamprzód sytuację zespołów artystycznych, uprawiających muzykę lub taniec ludowy w nowych opracowaniach. Układ taki podyktowany jest istotnym stanem rzeczy. Te bowiem zespoły pielęgnują dziś i popularyzują muzykę i taniec ludowy. Do wyjątków należą zespoły stałe, pracujące i odtwarzające dawną muzykę wiejską. Nie znaczy to, by zamarła ona całkowicie, by zupełnie zaginęły tańce ludowe na Śląsku. Żyje po dziś pieśń i muzyka wiejska na Śląsku Cieszyńskim, w innych okolicach już tylko starsi potrafią zaśpiewać dawne pieśniczki. Wszędzie widoczne są objawy coraz bardziej postępującego zaniku. Pieśń i muzyka wiejska przestają być treścią żywą. Festiwal, aktualizując szereg problemów muzyki ludowej, może i w tej dziedzinie nie przejdzie bez śladów. Myślę, iż w terenach, w których dochowała się do dziś żywa pieśń i muzyka wiejska, echa Festiwalu przyczynią się do krystalizacji odpowiednich zespołów artystycznych. Należałoby w związku z tym bacznie śledzić poczynania terenu, inspirując i popierając tego rodzaju inicjatywy. Osobnym zagadnieniem jest *sprawa renesansu masowości pieśni ludowej.* Wymaga ona długofalowej, planowej akcji, której ważność i pilność wszyscy uznają. Jeszcze gorzej przedstawia się na Śląsku *sprawa starszego typu zespołów instrumentalnych.* Poza Beskidem, gdzie dochował się duet gajd ze skrzypcami, do wielkiej rzadkości należą wiejskie kapele smyczkowe i dęte. W tradycji zachowały się ślady dawnych instrumentów ludowych, które niestety, już chyba bezpowrotnie zaniknęły. Repertuar muzyczny współczesnych zespołów kształtuje nie tradycyjna muzyka wiejska, lecz różnymi drogami dochodzące i różnego pochodzenia, pisane lub drukowane utwory. Stąd tylko drogą zasilania repertuaru można wpływać na zmiany na lepsze.

Podobna sytuacja istnieje w dziedzinie *ludowego tańca.* Znów jedynie południowa część Województwa dochowała, zna i tańczy dawne tańce wiejskie. Na innych terenach nie są one już w codziennym użyciu. Mimo tego szereg zespołów tanecznych usiłuje — trzeba dodać z coraz lepszym rezultatem — włączać je w swój repertuar. Dotyczy to tańców śląskich, tańce ludowe bowiem innych regionów prawie z zasady budzą poważne zastrzeżenia.

Wydaje się, iż w pracach zespołów tanecznych położyć należy większy nacisk, niż w innych zespołach artystycznych na opanowanie odpowiedniego regionalnego dorobku. Tańce bowiem w przeciwieństwie do dorobku muzycznego nie dadzą się tak dokładnie utrwalić (chyba na filmie), by mogły być wiernie odtwarzane, lub opracowywane choreograficznie.

Nie sądzę, by proces zanikania pieśni ludowych, przemiany dawnych kapel w podobne do miejskich zespoły instrumentalne był równoczesnym zanikiem twórczych możliwości ludzi ze środowisk wiejskich. Przygodne poszukiwania i rozmowy dowodzą, iż są ludzie, którzy mają w tym kierunku zainteresowania. Niewątpliwie owoce tej twórczości docierają do czyichś uszu, ale z natury rzeczy obieg ich jest nieznaczny. Nikt zaś jak dotąd nie zainteresował się tą dziedziną twórczości amatorskiej.

Cyfrowe rezultaty Festiwalu, wyrażone liczbą imprez zorganizowanych w ciągu miesiąca maja, są pokaźne. W niektórych powiatach objęły nawet większość gromad, ale jak się wyżej rzekło, pomyślne wyniki statystyczne nie były ostatecznym celem Komitetu Festiwalowego. Powyżej skreśliłem refleksje repertuarowe. Dalszych uwag dostarcza rozpatrzenie przestrzennego rozłożenia imprez. Największe nasilenie imprez wystąpiło na terenach dawnego Wojew. Śląskiego i niektórych powiatów Śląska Opolskiego. Słabo wypadło Zagłębie Dąbrowskie, płn. i środkowa Opolszczyzna.

Śledząc przebieg Festiwalu Wojew. Komitet stwierdził konieczność interwencji w tereny małoruchliwe. Pod uwagę wzięto Zagłębie Dąbrowskie i niektóre powiaty Śl. Opolskiego. Imprezy interwencyjne starano się dobrze przygotować, dając pokazy osiągnięć kilku, a nawet kilkunastu dobrych zespołów. Niektóre z nich odbyły się jeszcze w maju, inne w następnych miesiącach (do września łącznie). Komitet przypisuje tym imprezom duże znaczenie propagandowe i inspiracyjne. Poza imprezami interwencyjnymi, które już pod koniec maja zorganizowano w Zagłębiu Dąbrowskim, Komitet zwrócił szczególną uwagę na tę część Województwa. Jest ona bowiem najmniej rozśpiewana. Celem poprawy istniejącego stanu, obok wspomnianych imprez interwencyjnych zorganizowano staraniem Komitetu w miesiącach lipcu i sierpniu poszukiwanie i spisywanie pieśni ludowych na terenach powiatów będzińskiego i zawierciańskiego. Osągnięte rezultaty są pomyślne. Zebrano około 100 pieśni z terenu, który już prawie zapomniał, iż miał własną pieśń ludową, a nie posiadał starszych zbiorów, by do nich w razie potrzeby sięgnąć. Poszukiwania te musiały ze względów finansowych ograniczyć się do Zagłębia Dąbrowskiego. Oczywiście ciekawe byłyby i ważne podobne poszukiwania na Opolszczyźnie, ale trzeba było z nich na razie zrezygnować, pocieszając się tym, iż na tych terenach pracowała w 1947 r. wyprawa badawcza etnografów, zorganizowana przez Instytut Śląski, zajmująca się, m. in., zbieraniem pieśni.

Nieomal bezradny był natomiast Komitet wobec braków wartościowej literatury muzycznej, opartej o motywy ludowe, którą by mógł choć w części zaspokoić istniejące braki. Zwłaszcza dotyczyło to zespołów muzycznych i tanecznych. Jedna wiązanka śląska opracowana na polecenie Komitetu dla zespołów mandolinowych, jest ową symboliczną kroplą w morzu. O konieczności większego napływu tej literatury wspomniało się na wstępie, stanowi ona warunek rozwoju tak pomyślnie przez Festiwal Polskiej Muzyki Ludowej zaktualizowanej dziedziny kultury.

Pozytywny, jak mi się wydaje, bilans festiwalowy na Śląsku zawdzięczać należy tradycyjnym zamiłowaniom śpiewaczym. Obok niego czynnikiem o decydującym znaczeniu była aktywność Wojewódzkiego Komitetu Festiwalowego, w którego poczynaniach szczególnie aktywny udział brali przedstawiciele Wojew. Wydziału Kultury i Sztuki, O. R. Z. Z. oraz Polskiego Radia. Komitet przy poparciu solidarnym innych instytucyj i organizacyj społecznych ze Związkiem Śl. Kół Śpiewaczych na czele oraz dzięki subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki mógł zaplanować i rozwinąć szerszą akcję.

O jednym jeszcze eksperymencie chciałbym wspomnieć na zakończenie. Komitet postanowił mianowicie zorganizować poważną imprezę artystyczną w ramach Wojew. Święta Dożynek. Inaczej mówiąc, połączyć dożynki z Festiwalem Muzyki Ludowej. Impreza ta odbyła się 4 września w Lublińcu, stanowiąc zjawisko godne uwagi. Sugestie nasze szłyby w kierunku zastanowienia się, czy nie należałoby na stałe połączyć z sobą tych dwóch imprez.

JÓZEF LIGĘZA.

„Beniowski" na scenie



Poeta - rewolucjonista (August Kowalczyk) i wyobrażenie ludów w inscenizacji „Beniowskiego" w Teatrze Rapsodycznym.

Po dwu olbrzymich sukcesach, puszkinowskim *„Eugeniuszu Onieginie"* i mickiewiczowskim *„Panu Tadeuszu"*, krakowski *Teatr Rapsodyczny* wystąpił z premierą poematu *Juliusza Słowackiego „Bieniowski"*. Zaiste, wzruszająca to premiera i nie tylko ze względu na najwyższy ton artystycznego podania natchnionych oktaw Słowackiego, ale przede wszystkim ze względu na to, że ukazuje ona słuchaczowi nowego Słowackiego, nieznanego, jakże dalekiego od tego poety, jakiego zna się ze studiów szkolnych, z najpopularniejszych utworów, ze spektakli teatralnych, w końcu z opinii bardzo rozpowszechnionej o poecie artystowskim, poecie słowa, poecie oderwanym od życia...

W inscenizacji krakowskiego Teatru Rapsodycznego zarysował się silnym konturem Słowacki—społecznik, Słowacki—rewolucjonista. Z pieczołowitością i wysubtelnionym wyczuciem twórca inscenizacji krakowskiej wyszukał z wszystkich fragmentów „Bieniowskiego" te wiersze, które przemawiają żarliwą wiarą poety w lepszą przyszłość ludów, w rewolucję światową, która wytyczy nowe drogi przed uciemiężonymi i wzgardzonymi, wiersze, które świadczą o proroczym duchu, o natchnieniu równym porywowi Wielkiej Improwizacji. Taki Słowacki nie jest popularny, chociaż nim właśnie winien być, ten „Beniowski" jest prawie nieznany. Ze znanych pięciu pierwszych pieśni inscenizator Teatru Rapsodycznego wykorzystał zaledwie kilka oktaw, całość inscenizacji przerzucając na wypowiedź ideową poety, osnutą dokoła pysznego w kolorycie i humorze epizodu krymskiego posłowania pana Beniowskiego z poleceniem księdza Marka do chana o pomoc dla Baru.

Słowacki tworzył fabułę poematu tylko jako pretekst do wygłoszenia w dygresjach swego credo w stosunku do różnych zagadnień, do wypowiedzenia się we wszystkich przejmujących go kwestiach, do przeprowadzenia rozgrywki z Mickiewiczem, z emigracyjnymi obozami, przyjaciółmi i wrogami. Te właśnie dygresje są najważniejsze — fabuła „Beniowskiego", aczkolwiek bawi i zachwyca umiejętnością podania jej w oktawach, rytmem, rymem, obrazowością, humorem, jest drugoplanowa. To właśnie podkreśla świetnie inscenizacja krakowska.

Adaptator tekstu, inscenizator i reżyser widowiska, dyr. *Mieczysław Kotlarczyk*, ukazał dwa wcielenia poety: jeden Słowacki — to ten znany, artystowski, bawiący się wierszem, świetny twórca zwrotek o niezmąconym bogactwie rytmu i rymu, poeta zabawy, uczucia, wrażenia, kaprysu i drapieżnej satyry. Ten Słowacki występuje w inscenizacji we fraku i wieczorowej pelerynie, z laseczką, elegancki, salonowy w towarzystwie swej równie artystowskiej i salonowej muzy. On to wraz z muzą prowadzi fabułę, kieruje nią, przerywa lub wprowadza znów w nurt scenicznych obrazów. On wywołuje muzę wschodnią swej fantazji, prowadzi Beniowskiego od przygody do przygody, wiedzie na chański dwór, spotyka z Salusią i Borejszą. Ale jest drugi Słowacki, ten zasadniczy, ten bliski nam niewymownie, dzisiejszy, porywający nie formą wiersza i nie fabułą, ale rewolucyjną treścią poematu. Ten Słowacki ze swoją muzą ukazuje się jako akcent każdego z trzech aktów widowiska, ubrany w romantyczną szatę, w wyłożonym kołnierzu, w półcieniu i półświetle znakomicie zresztą upodobniony do znanych nam fotografij poety. Ten Słowacki społeczny, wieszczy, światoburczy, aktualny, płomienny i zwycięski jest właściwą treścią widowiska, jak właściwą treścią poematu o panu Beniowskim są właśnie te wyszarpywane wciąż jeszcze z przeszłości, wciąż jeszcze odkrywane fragmenty poematu, które w dygresjach ukazuje nam władcę słowa jako wielkiego głosiciela treści społecznej, politycznej, ideowej.

Przedstawienie w Teatrze Rapsodycznym zachwyca i porywa. Wypracowane jest niezwykle starannie, wyrównane, zespołowe, i pokazane w doskonałych ramach scenograficznych, z przydaniem ruchu zespołowego, nawet tańca, nawet prawie już śpiewu w takcie pięknej, pomysłowej i bogatej ilustracji muzycznej. Dwu Słowackich interpretuje kapitalnie *dyr. Kotlarczyk* i *August Kowalczyk*, pierwszy z lekkością salonowego łowcy rymu i przygody, drugi z powagą i pięknym nastrojem idei. Muza artystowska znalazła świetną odtwórczynię w osobie *Krystyny Ostaszewskiej*. Muza rewolucyjna w osobie *Marii Balewicz*, a wschodnia — w osobie niezwykłej aktorki tego zespołu, *Danuty Michałowskiej*, tajemniczej, albo promiennej, o wspaniałej skali głosu, po prostu muzycznej. Salusią jest *Irena Żółtowska*, poszczególne postaci kobiece odtwarzają: J. *Bocheńska*, I. *Gajdarska*, H. *Iwanow*, K. *Jaroszyńska*, D. *Jodłowska*, A. *Namysłowska*, Z. *Pawłowska* i piękna tancerka krymskiego dworu — *Wanda Szczuka*, która pomysłowo i twórczo opracowała gest i zespołową plastykę przedstawienia. *Stanisław Gronkowski* jako Borejsza, *Mieczysław Voit* jako Hamed wnieśli dobre elementy aktorskie. Wymieńmy pozostałych: J. *Adamskiego*, W. *Pawłowicza* jako pełnego temperamentu szlacheckiego Beniowskiego, P. *Pawłowskiego*, T. *Śliwiaka*. U wszystkich artystów-rapsodyków dźwięczy wiersz Słowackiego na najwyższym poziomie kunsztu wypowiedzenia — a wziąć trzeba pod uwagę, że wiersz ten jest niezwykle trudny do mówienia, kapryśny, rozrywany treścią wewnętrzną, łamany, subtelnie pastelowy lub wystrzelający płomieniem. Umiejętność wypowiadania poezji przez zespół rapsodyczny jest jedyna i odrębna.

Muzykę napisał *Zbigniew Jeżewski*, dekoracje i kostiumy pięknie stonowane w barwie, pomysłowe w symbolice projektował *Tadeusz Ostaszewski*. Światłem operuje *Marian Kuciara*.

„Beniowski" krakowskiego Teatru Rapsodycznego jest nowym, kapitalnym osiągnięciem tego twórczego, jedynego w tym typie w Polsce teatru, który jest świątynią wielkiego słowa poetyckiego.

Witold Zechenter.

Widnokręgi techniki

(Dokończenie ze strony 1)

ciwko człowiekowi. Bo stosunek socjalizmu do techniki jest humanistyczny, a nie nieludzki. To stanowisko określa konsekwentna linia Związku Radzieckiego i Demokracji Ludowych, gdy chodzi o kontrolę nad energią atomową i zbrojeniami. Z tej głębi wyrasta ich chwalebna walka o pokój i demokrację.

7

Polska do niedawna znajdowała się poza dobrem i złem współczesnej techniki, choćby z tej prostej racji, że jesteśmy jeszcze maruderem w dziedzinie postępu. Usiłujemy dopiero na podstawach najnowocześniejszej idei państwowej nadgonić wiekowe zaniedbania. Byliśmy wolni od dobrodziejstw techniki, a narażeni na jej wszystkie groźby, które też jak piorun z jasnego nieba spadły na nas przed dziesięciu laty.

Chyba najstraszniejszym przewinieniem szlacheckich paniczyków wobec polskiego narodu jest ów obraz nędzy i rozpaczy, jaki Polska pod względem technicznym przedstawiała pod ich rządami i jako taka dostała się nam w spadku. Lwia część winy spada również na tych, którzy umacniali knebel pańszczyzny i poddaństwa przez utwierdzanie ciemnoty, obskurantyzmu i analfabetyzmu wśród szerokich mas uciskanego chłopstwa. Aż zgroza człowieka ogarnia, gdy w dodatku pomyśli, że jeszcze przed wojną dwaj endecy, obecni luminarze emigracji (Giertych i Terlecki, czarno na białym propagowali zbędność oświaty wśród sfer ludowych („Poco pastuchowi alfabet?").

W takim samym położeniu była trzydzieści lat temu Rosja, zawdzięczając to tym samym reakcyjnym czynnikom. Wcześniej dokonując niezbędnej rewolucji, wcześniej też od Polski zaczęła odrabiać wiekowe zaniedbania. Gdy ona w okresie międzywojennego dwudziestolecia w „radzieckim tempie" unowocześniała swe życie, także pod względem technicznym, my cofnęliśmy się do niesławnych wzorów epoki saskiej.

Współczesna Polska zdaje sobie z tego sprawę. Podejmując walkę z wszelkimi siedliskami narodowymi urządza walkę z polskim prymitywem technicznym za jedno ze swoich naczelnych zadań. Pokaźny odcinek tej walki [illegible] społeczeństwa antytechnicznej psychologii, tak uroczyście kultywowanej przez tradycyjne instytucje wychowawcze. To co w tej dziedzinie obecnie przeżywa naród polski, można bez przesady nazwać początkiem nowej epoki w jego dziejach. Budowa Trasy W—Z w Warszawie dostarcza na to wiele optymistycznych argumentów.

Na zacofanie narodu polskiego na polu techniki złożyły się więc wszystkie błędy przeszłości — skostniały ustrój społeczny, fałszywe ideały kulturalne i wychowawcze, i wszystko to co z tego wynika. Obecnie jednak polska klasa robotnicza, odmieniając obraz epoki, da nam także nowy zryw techniczny.

8

W konkluzji stwierdzić musimy, że odwrót od techniki wydaje się być w dzisiejszej sytuacji absurdem. Wyrzekać się rzeczowego, inżynierskiego myślenia i racjonalistycznej metodyki, jaką stosuje ono w swoim procesie tworzenia, oznaczałoby to samo, co pozbawić ludzkość na powrót tej sfery, w której człowiek jest już kowalem swego własnego losu, wolnym od ślepej gry sił i przypadku. Musielibyśmy się wówczas także wyrzec perspektywy powszechnego dobrobytu i dosytu materialnego, który w świetle dzisiejszej nauki i techniki staje się sprawą na wskroś realną i możliwą do osiągnięcia. Niebywałe narzędzia, potężne i precyzyjne, siłownie, potęgujące w sposób niewiarogodny wątłe siły człowieka, zapowiadają erę, w której człowiek stanie wreszcie na wyżynie umożliwiającej wyższe jego działanie.

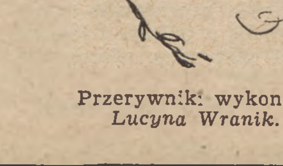
W tym celu jednak technokratyzm współczesny musi przejść chrzest humanistyczny, antyimperialistyczny, socjalistyczny. W swojej ślepej pogoni za autonomicznymi celami, za wyższą cyfrą produkcji, w swoich faustycznych snach o potędze, pomieszawszy cele i środki, technicy zapędzili się na manowce i uczynili człowieka integralnym czynnikiem — surowcem procesów produkcyjnych. Trzeba jednak zrozumieć, że technika nie jest celem samym w sobie. Trzeba jednak zrozumieć, że technika musi swą efektywną działalność [illegible], iż człowiek jest jej celem, jego dobro i szczęście, że jest ona tylko środkiem w służbie wyższych wartości kulturowych. [illegible] człowiek wyposażony w dobrodziejstwa techniki, potrzebny w swej walce o byt i doskonałość w jej potężne czynniki działania, odzyska wiarę w życie i jego sens, wiarę w siebie i swoją lepszą przyszłość.

Tak odnoszą się do techniki kraje demokracji ludowych. Widzą one dwa oblicza techniki: jedno, jako źródło rosnącej władzy człowieka nad przyrodą i dobrobytu ludzkiego, drugie jako źródło wojen, nieszczęść i cierpień. Ale przywracając wszystkim instytucjom ludzkim ich ludzki istotny sens i istotne przeznaczenie, w zgodzie z najgłębszymi pokładami wyznawanego przez siebie humanizmu, sądzą, że można ograniczyć rolę techniki wyłącznie do jej dobroczynnej funkcji.

Jeśli się ją podda międzynarodowej kontroli, jeśli przestanie być monopolem wszelkiej maści imperialistów, jeśli ludzkość potrafi stworzyć organ, który by czuwał nad tym, by niebezpieczne zdobycze techniki nie wpadały w ręce szaleńców — podpalaczy świata, wówczas technika oddana na użytek całej ludzkości rozwinie swą życiodajną siłę, zaś wiek, który tego dokona, stanie się rzeczywistym złotym wiekiem ludzkości.

Dlatego, kto u nas pracuje nad podniesieniem poziomu techniki, kto usprawnia organizację i narzędzia pracy, kto racjonalizuje — ten nie tylko przyczynia się do wzrostu dobrobytu w kraju, lecz równocześnie — przyczyniając się do wyrównania potencjałów techniczno-gospodarczych na świecie — pracuje dla pokoju, dla lepszego jutra całej ludzkości...

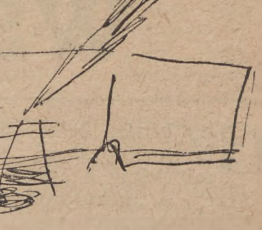
Eryk Skowron



Przerywniki wykonała *Lucyna Wranik.*

Jeden z najbliższych numerów „Odry" poświęcony będzie górnikom

Z CAŁEGO ŚWIATA



Sezon koncertowy w Moskwie otwarty został szeregiem koncertów pieśni ludowych i masowych. Pierwszy z tych koncertów wykonały orkiestra i chór Wszechzwiązkowego Radiokomitetu pod kierownictwem artystycznym laureata nagrody Stalinowskiej A. Nowikowa i pod batutą artysty narodowego Republiki Kirgizkiej. W. Celikowskiego. Program składał się z 25 pieśni, z których większość osnuta jest na tematyce walki narodów radzieckich z faszyzmem i pokojowej odbudowy Związku Radzieckiego. Były to kompozycje Dunajewskiego, Nowikowa, Mokrousowa, Listowa i in. Inny wieczór nowych pieśni odbył się w Domu Kompozytorów, gdzie publiczność stanowili działacze kulturalno-oświatowi związków zawodowych i młodzieżowi. Tu wykonane zostały m. in. nowe pieśni Muradelego i Nowikowa, nagrodzone na tegorocznym festiwalu młodzieży w Budapeszcie.

Teatr MCHAT uczcił w dniu 3 października pierwszą rocznicę śmierci wielkiego aktora radzieckiego W. I. Kaczałowa, który zaliczany jest do największych aktorów świata. Na uroczystym wieczorze poświęconym jego pamięci odczytano urywki wspomnień z papierów znajdujących się w archiwum po Kaczałowie a następnie odtworzono z płyt recytacje utworów Puszkina, Tołstoja i Majakowskiego w wykonaniu Kaczałowa.

W Chinach bawiła przez dłuższy czas liczna radziecka delegacja kulturalna. Członkowie delegacji weszli w kontakt z przedstawicielami chińskiego życia kulturalnego, naukowcami i artystami, zwiedzili większe ośrodki pracy kulturalnej i pomniki kultury chińskiej oraz wygłosili odczyty, w których dzielili się ze swymi chińskimi kolegami doświadczeniami w zakresie pracy nad rozwojem i upowszechnieniem kultury. Przedstawiciele filmu radzieckiego oświadczyli, że przyjdą Chinom z pomocą w realizacji dwóch kolorowych filmów obrazujących bohaterską walkę ludu chińskiego o wyzwolenie.

Doroczny konkurs muzyczny młodych talentów w Genewie, zakrojony na międzynarodową skalę i odbywający się co roku od zakończenia wojny we wrześniu i październiku, nie odkrył w tym roku młodych utalentowanych artystów i według opinii prasy szwajcarskiej wypadł słabo. Prasa kwestionuje m. in. przyznanie pierwszej nagrody pianistce Marii Tipo. W tegorocznym konkursie wzięli również udział artyści z zachodnich Niemiec. Państwa ludowej demokracji udziału w konkursie nie brały ze względu na handlowy a nie artystyczny charakter tej imprezy.

Z przekładów literatury rosyjskiej na język hebrajski ukazały się ostatnio: „Eugeniusz Oniegin" Puszkina w przekładzie Słońskiego i wiersze Majakowskiego w doskonałym przekładzie Aleksandra Pena.

Z okazji roku chopinowskiego w Kairze wyjdzie książka o Chopinie, której autorem jest pisarz egipski dr Mahmud el-Hafni. Książka ukaże się w czasie zapowiedzianego na listopad festiwalu chopinowskiego w Kairze.

W Galerii Narodowej w Pradze otwarta została wystawa sztuki człowieka dyluwialnego. Wystawa obejmuje malarstwo i rzeźby tego okresu w oryginalnych wykopaliskach, w rekonstrukcjach i reprodukcjach. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się wspaniałe rekonstrukcje malowideł jaskiniowych.

J. P. Vaillant, założyciel francusko-belgijsko-luxemburskiego kwartalnika „La Give" wznowił wychodzący przed wojną organ Twa Miłośników Poezji Artura Rimbaud. Pierwszy zeszyt tego pisma, noszącego tytuł „Le Bateau Ivre", obejmie bibliografię Rimbauda za lata 1939—1949.

Towarzystwo Przyjaciół Indonezji w Kalkucie wydało antologię współczesnej poezji indonezyjskiej pt. „Ziemia płonąca". Przekładów dokonał Ahmed Ali. Antologia ta daje obraz cierpień ludu indonezyjskiego i jego walk o wolność.

Pomiędzy Islandią a Danią toczy się przewlekły spór o zwrot starych rekopisów islandzkich. Rekopisy te są najstarszym i najcenniejszym zabytkiem piśmiennictwa narodów północno-europejskich. Rekopisy te dostały się do Danii w początkach ery nowożytnej, gdy Islandia tworzyła część królestwa duńskiego. Pierwsze żądania zwrotu tych cennych zabytków wysunęła Islandia po pierwszej wojnie światowej, gdy związek jej z Danią oparł się tylko na unii personalnej. Spór przybrał na sile od r. 1944, gdy Islandia zerwała wszystkie więzy polityczne łączące ją z Danią.

Teatr Narodowy w Sofii rozpoczął sezon sztuką bułgarskiego autora Orlina Wasilewa „Trewoga", a następnie wystawił Ławreniewa „Za tych, którzy są na morzu" i Ostrowskiego „Wilki i owce". Teatr Narodowy w Ruszczuku wystawił jako pierwszą sztukę zimowego sezonu „Pod jarzmem" Iwana Wazowa. W dalszym repertuarze ma on „Wesele Figara" Beaumarchego, „Wrogów" Gorkiego i „Moskiewski charakter" Sofronowa.

„Premio Gramsci 1950" za utwór dramatyczny otrzymał Luigi Squarfina za sztukę „L'esposizione uniwersale". Nagrodę „Riecione 1950" za najlepszy utwór sceniczny otrzymał mediolański krytyk teatralny Carlo Terrone za komedię „Giuditta". Miesięcznik „Sipario" wydał bogaty numer specjalny poświęcony teatrowi włoskiemu. Zawiera on obszerną część sprawozdawczą, liczny materiał ilustracyjny oraz trzy najnowsze sztuki włoskie, których autorami są Bontempelli, Betti i Alvara.



Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.

R — 019763